



POTĘGA HONORU

KSIĘGA 3 KRÓLOWIE I CZARNOKSIĘŻNICY

MORGAN RICE

Morgan Rice
Potęga Honoru
Серия «Królowie I
Czarnoksiężnicy», книга 3

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=43696175

Potęga Honoru (Część 3 Królowie I Czarnoksiężnicy):

ISBN 9781632914316

Аннотация

Przepełniona akcją powieść z gatunku fantasy, która z pewnością zadowoli zarówno fanów dotychczasowej twórczości Morgan Rice, jak i entuzjastów powieści takich jak The Inheritance Cycle Christophera Paolini.. Najnowsza powieść Rice wciągnie bez reszty wszystkich miłośników literatury dla młodzieży. The Wanderer, A Literary Journal (dotyczy Powrotu Smoków) Bestsellerowa seria! POTĘGA HONORU to trzecia część bestsellerowej serii fantasy Morgan Rice, KRÓLOWIE I CZARNOKSIĘŻNICY (pierwsza część, POWRÓT SMOKÓW, jest do ściągnięcia za darmo) ! W POTĘDZE HONORU Kyra odnajduje w końcu swojego wujka, który jak się okazuje, jest zupełnie inny niż to sobie wyobrażała. Rozpoczyna szkolenie, podczas którego szybko napotyka granice swojej mocy, co wystawia na próbę jej wytrwałość i wywołuje frustrację. Nie mogąc przywołać smoka, ani nie potrafiąc wejrzeć w głąb swojej duszy, czuje silną potrzebę dołączenia do ojca na wojnie i wątpi w to, czy kiedykolwiek

stanie się wojowniczką, za którą się uważała. A kiedy w leśnych ostępach poznaje tajemniczego chłopca, o wiele potężniejszego od siebie, zaczyna zastanawiać się, co jeszcze kryje dla niej przyszłość. Duncan musi zejść ze szczytów Kos ze swoją nową, o wiele liczniejszą armią, by przeprowadzić niezwykle ryzykowną inwazję na stolicę. Wie dobrze, że jeśli wygra, za starożytnymi murami czekać na niego będzie dawny król ze swą świętą szlachciców i arystokratów, wszyscy uwikłani w brudne gierki, wszyscy skorzy do zdrady. Obawia się, że zjednoczenie Escalonu może być w rzeczywistości o wiele trudniejsze, niż jego wyzwolenie. W mieście Ur Alec musi wykorzystać swoje wyjątkowe umiejętności kowalskie, żeby pomóc ruchowi oporu w obronie przed nadciągającą inwazją Pandezji. Nie może wyjść z podziwu, gdy po raz pierwszy spotyka Dierdre, najsilniejszą dziewczynę, jaką kiedykolwiek widział. Gdy nadchodzi czas, kiedy Dierdre musi sprzeciwić się Pandezji, zastanawia się, czy tym razem ojciec i jego ludzie staną w jej obronie. Wezuwiusz prowadzi swój naród trolli przez bezbronny Escalon, siejąc spustoszenie, podczas gdy Theos, ogarnięty furią po stracie syna, również mści się okrutnie i nie przestanie, dopóki wszystko wokół niego nie spłonie. **POTEGA HONORU** przeniesie cię do świata rycerzy i wojowników, królów i namiestników, honoru i męstwa, magii, przeznaczenia, potworów i smoków. To magiczna opowieść o miłości i złamanych sercach, oszustwach, ambicji i zdradzie. To powieść fantasy w najlepszym wydaniu, która będzie żyć w tobie jeszcze długo po jej przeczytaniu, która wciągnie każdego czytelnika, bez względu na jego płeć czy wiek. Czwartą książkę serii **KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY** ukaże się już wkrótce. Dobra wiadomość dla wszystkich tych, którzy po przeczytaniu całej serii Kręgu Czarnoksiężnika wciąż pragną więcej. Książki Morgan Rice to zapowiedź kolejnej genialnej serii fantasy,

która zabiera nas w podróż do świata trolli i smoków, męstwa, honoru, odwagi, magii i wiary w swoje przeznaczenie. Morgan po raz kolejny udało się stworzyć nietuzinkowych bohaterów, których dopingujemy na każdej stronie książki.. Obowiązkowa pozycja w biblioteczkę każdego miłośnika gatunku fantasy. Books and Movie Reviews, Roberto Mattos (dotyczy Powrotu Smoków) [Ta powieść] to ogromny sukces – od samego początku.. Rewelacyjna powieść fantasy.. Zaczyna się tak, jak powinna – od opisu zmagania jednej bohaterki, by potem, z każdą kolejną stroną, wprowadzać nas coraz głębiej w świat rycerzy, smoków, magii, potworów i przeznaczenia.. W tej książce znajdziesz wszystko to, co potrzebne jest dobrej fantasy, od wojowników i bitew, po konfrontację z samym sobą... Szczególnie polecana dla czytelników, którzy lubią przygody młodych, zdeterminowanych i wiarygodnych bohaterów. Midwest Book Review, D. Donovan, eBook Reviewer (dotyczy Powrotu Smoków) Przyjemna lektura na weekend... Dobry początek obiecującej seriiSan Francisco Book Review (dotyczy Powrotu Smoków)

Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	17
ROZDZIAŁ DRUGI	21
ROZDZIAŁ TRZECI	24
ROZDZIAŁ CZWARTY	33
ROZDZIAŁ PIĄTY	38
ROZDZIAŁ SZÓSTY	45
ROZDZIAŁ SIÓDMY	63
ROZDZIAŁ ÓSMY	76
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	87
Конец ознакомительного фрагмента.	92

Morgan Rice

Potęga Honoru (Część 3 Królowie I Czarnoksiężnicy)

Morgan Rice

Morgan Rice plasuje się na samym szczycie listy USA Today najpopularniejszych autorów powieści dla młodzieży. Morgan jest autorką bestsellerowego cyklu fantasy KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA, złożonego z siedemnastu książek; bestsellerowej serii WAMPIRZE DZIENNIKI, złożonej, do tej pory, z jedenastu książek; bestsellerowego cyklu thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL TRILOGY, złożonego, do tej pory, z dwóch książek; oraz najnowszej serii fantasy KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY, składającej się z dwóch części (kolejne w trakcie pisania). Powieści Morgan dostępne są w wersjach audio i drukowanej, w ponad 25 językach.

PRZEMIENIONA (Księga 1 cyklu Wampirzych Dzienników), ARENA ONE (Księga 1 cyklu Survival Trilogy), WYPRAWA BOHATERÓW (Księga 1 cyklu Kraż Czarnoksiężnika) oraz POWRÓT SMOKÓW (Księga 3 Królowie i Czarnoksiężnicy) dostępne są nieodpłatnie.

Morgan czeka na wiadomość od Ciebie. Odwiedź jej

stronę internetową www.morganricebooks.com i dołącz do listy mailingowej, a otrzymasz bezpłatną książkę, darmowe prezenty, darmową aplikację do pobrania i dostęp do najnowszych informacji. Dołącz do nas na Facebooku i Twitterze i pozostań z nami w kontakcie!

Wybrane recenzje Morgan Rice

"Dobra wiadomość dla wszystkich tych, którzy po przeczytaniu całej serii KREGU CZARNOKSIEŻNIKA wciąż pragną więcej. POWRÓT SMOKÓW Morgan Rice to zapowiedź kolejnej genialnej serii fantasy, która zabiera nas w podróż do świata trolli i smoków, męstwa, honoru, odwagi, magii i wiary w swoje przeznaczenie. Morgan po raz kolejny udało się stworzyć nietuzinkowych bohaterów, których dopingujemy na każdej stronie książki. ... Obowiązkowa pozycja w biblioteczkę każdego miłośnika gatunku fantasy."

--Books and Movie Reviews

Roberto Mattos

"Powrót Smoków to ogromny sukces – od samego początku Rewelacyjna powieść fantasy ... Zaczyna się tak, jak powinna – od opisu zmagania jednej bohaterki, by potem, z każdą kolejną stroną, wprowadzać nas coraz głębiej w świat rycerzy, smoków, magii, potworów i przeznaczenia. ... W tej książce znajdziesz wszystko to, co potrzebne jest dobrej fantasy,

od wojowników i bitew, po konfrontację z samym sobą... Szczególnie polecana dla czytelników, którzy lubią przygody młodych, zdeterminowanych i wiarygodnych bohaterów."

--*Midwest Book Review*

D. Donovan, eBook Reviewer

"Przepełniona akcją powieść z gatunku fantasy, która z pewnością zadowoli zarówno fanów dotychczasowej twórczości Morgan Rice, jak i entuzjastów powieści takich jak *The Inheritance Cycle* Christophera Paolini.... Najnowsza powieść Rice wciążnie bez reszty wszystkich miłośników literatury dla młodzieży."

--*The Wanderer, A Literary Journal* (dotyczy *Rise of the Dragons*)

"Porywająca powieść fantasy, w której fabułę wplecione są elementy tajemnicy i intrygi. *Wyprawa Bohaterów* opowiada o odwadze i życiowej misji, której realizacja prowadzi do rozwoju, dojrzałości i doskonałości... Dla tych, którzy szukają ekscytującej opowieści fantasy, pełnej wyrazistych bohaterów, środków przekazu i akcji. Książka w piękny sposób opisuje dorastanie Thora i jego przemianę z narwanego chłopca w młodego mężczyznę, który musi stawić czoła niebezpiecznym wyzwaniom... To zaledwie początek czegoś, co zapowiada się na cykl epickiej serii dla młodzieży."

--*Midwest Book Review* (*D. Donovan, eBook Reviewer*)

"KRAK CZARNOKSIEŻNIKA zawiera wszystkie elementy niezbędne do osiągnięcia natychmiastowego sukcesu: fabułę,

zmowy i spiski, tajemnicę, dzielnych rycerzy, rozwijające się bujnie związki uczuciowe i złamane serca, podstęp i zdradę. Zapewni rozrywkę na wiele godzin i zadowoli czytelników w każdym wieku. Uważana za obowiązkową pozycję w biblioteczkę każdego czytelnika fantasy.”

--Books and Movie Reviews, Roberto Mattos

“Jest to pierwsza część sagi fantasy „Krag Czarnoksiężnika” (obecnie złożonej z czternastu części), w której Rice przedstawia czytelnikom losy 14-letniego Thorgrina "Thora" McLeoda, którego największym marzeniem jest dołączenie do Srebrnego Legionu, elitarnego oddziału królewskiej armii.... Pisarstwo Rice jest porządne, a przesłanie intrygujące.”

--Publishers Weekly

Książki Morgan Rice

KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY

POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ #1)

POWRÓT WALECZNYCH (CZEŚĆ #2)

POTEGA HONORU (CZEŚĆ #3)

KRAG CZARNOKSIEŻNIKA

WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)

MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)

LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)
ZEW HONORU (CZEŚĆ 4)
BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)
SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)
RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)
OFIARA BRONI (CZEŚĆ 8)
NIEBO ZAKŁĘĆ (CZEŚĆ 9)
MORZE TARCZ (CZEŚĆ 10)
ŻELAZNE RZĄDY (CZEŚĆ 11)
KRAINA OGNI (CZEŚĆ 12)
RZĄDY KRÓLOWYCH (CZEŚĆ 13)
PRZYSIĘGA BRACI (CZEŚĆ 14)
SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZEŚĆ 15)
POTYCZKI RYCERZY (CZEŚĆ 16)
ŚMIERTELNA BITWA (CZEŚĆ 17)

THE SURVIVAL TRILOGY

ARENA ONE: SLAVERSUNNERS (CZEŚĆ 1)
ARENA TWO (CZEŚĆ 2)

WAMPIRZYCH DZIENNIKÓW

PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)
KOCHANY (CZEŚĆ 2)
ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)
PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)
POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)

ZARECZONA (CZEŚĆ 6)

ZAŚLUBIONA (CZEŚĆ 7)

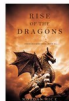
ODNALEZIONA (CZEŚĆ 8)

WSKRZESZONA (CZEŚĆ 9)

UPRAGNIONA (CZEŚĆ 10)

NAZNACZONA (CZEŚĆ 11)

KINGS AND SORCERERS



THE SORCERER'S RING

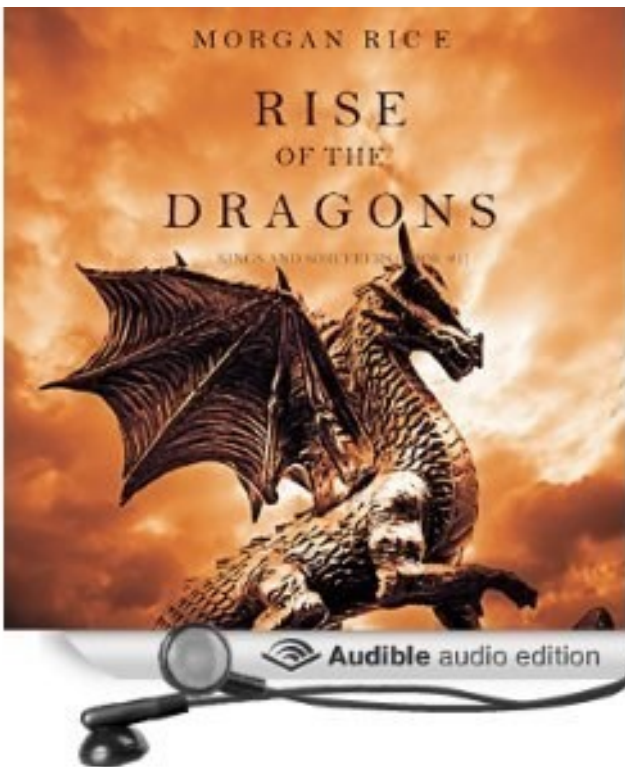


THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals





**Słuchaj serii KRÓLOWIE I
CZARNOKSIĘŻNICY na audiobooku!**

Chcesz dostać książki za darmo?

Dołącz do listy mailingowej Morgan Rice, a otrzymasz 4 bezpłatne książki, 2 darmowe mapy, 1 darmową aplikację i ekskluzywne upominki. Zarejestruj się na stronie: www.morganricebooks.com

Copyright © 2014 Morgan Rice

Wszelkie prawa zastrzeżone. Poza wyjątkami dopuszczonymi na mocy amerykańskiej ustawy o prawie autorskim z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, rozpowszechniana, ani przekazywana w jakiejkolwiek formie lub w jakikolwiek sposób, ani przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania informacji bez wcześniejszej zgody autora.

Niniejszy e-book przeznaczony jest wyłącznie do użytku osobistego. Niniejszy e-book nie może być odsprzedany lub odstąpiony innej osobie. Jeśli chcesz podzielić się tą książką z inną osobą, należy zakupić dodatkowy egzemplarz dla każdego odbiorcy. Jeśli czytasz tę książkę, choć jej nie zakupiłeś, lub nie została ona zakupiona dla ciebie, powinieneś ją zwrócić i kupić własną kopię. Dziękujemy za poszanowanie ciężkiej pracy

autora.

Niniejsza książka jest utworem literackim. Wszystkie nazwy, postacie, miejsca i zdarzenia są wytworem wyobraźni autorki i są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do imion czy cech prawdziwych osób jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

Jacket image Copyright breakermaximus ©
Shutterstock.com.



“Jeśli stracę Honor, to jakbym poszedł na stracenie.”
-- William Shakespeare
Antoniusz i Kleopatra

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Theosa ogarnęła ślepa furia. Zanurkował w powietrzu, kierując się wprost na znajdującą się poniżej wioskę. Zamierzał zrównać z ziemią cały Escalon, sprawić, by wszyscy ludzie zapłacili za zniknięcie jego jaja. Będzie miał zniszczenie tak długo, aż nie znajdzie tego, czego szukał.

Był zdruzgotany ironią tej sytuacji. Uciekł przecież ze swojej ojczyzny tylko po to, by w tym odległym kraju ukryć jajo przed gniewem swych pobratymców. Smoki z jego krainy obawiały się bowiem prorocтва, według którego to właśnie jego syn miał zostać Władcą Wszystkich Smoków. Za nic w świecie Theos nie mógł pozwolić, by jego pierworodnemu stała się krzywda. W ciężkich bojach odniósł wiele poważnych ran, ale zdołał uciec i przemierzywszy tysiące kilometrów nad wielkimi morzami, dotarł tutaj, do wyspy ludzi, miejsca, w którym inne smoki nigdy nie będą go szukać. Tutaj chciał znaleźć bezpieczne schronienie dla swego potomka.

Jednak gdy tylko wylądował i złożył jajo na miękkim poszyciu, znienacka zaatakował go pandezyjski żołnierz. Ponownie narażając swoje życie, zdołał odwrócić uwagę napastnika od jaja, sam jednak doznał kolejnych ciężkich obrażeń. Przeżył tylko dzięki pomocy tej dziewczyny, Kyry. Przez to całe zamieszanie stracił z oczu swoje dziecko i później, mimo nieustannych poszukiwań w gęstej śnieżycy, nie mógł go

już odnaleźć. To był błąd, za który nienawidził siebie, za który winił całą rasę ludzką i którego nigdy, przenigdy nie wybaczy.

Theos leciał coraz szybciej, wydając z siebie ryk, który w drzenie wprowadzał nawet drzewa i ziejąc śmiertelnośnym strumieniem ognia, który mógł zmieść z powierzchni ziemi całe miasto. Za swój cel obrał przypadkową wieś, która miała nieszczęście leżeć akurat na jego drodze. W dole nieświadomi niczego mieszkańcy pracowali w swoich gospodarstwach, dzieci bawiły się na podwórzach, a psy ganiały po ulicach.

Ludzkie twarze zmroził strach, gdy spojrzeli w górę i zobaczyli sięgające ich płomienie. Drąc się wniebogłosy, rozbiegli się, próbując ratować życie, jednak dla nich było już wtedy za późno. Ogień nie szczędził nikogo, dosięgnął mężczyzn i kobiety, dzieci, rolników i wojowników, tych którzy uciekali i tych, którzy sparaliżowani strachem tkwili w bezruchu. Theos trzepotał wielkimi skrzydłami, podsycając dodatkowo płomienie, które trawiły ludzi, ich zwierzęta, domy, broń i cały dobytek. Wszyscy, każdy jeden z tych ludzi, zapłacił za jego stratę.

Cała wioska stała w ogniu, wszystko wkrótce miało zamienić się w kupkę popiołu. Cóż, Theos pomyślał: z popiołu ludzie powstał i w popiół się obrócić.

Theos leciał teraz tuż nad ziemią, rycząc, wciąż zionąc płomieniami, zahaczając o drzewa, łamiąc gałęzie i strząsając liście. Za sobą zostawiał ślad spalonej ziemi, który niczym blizna przecinała ziemie Escalonu. Podpalał ogromne połacie

Cierniowego Lasu, wiedząc, że nic nie urośnie tu przez tysiące lat, że ta blizna nie pozwoli zapomnieć ludziom o tym, co tu zaszło. Ta myśl napawała go satysfakcją. Choć podświadomie zdawał sobie sprawę z tego, że płomienie mogą dosięgnąć i jego jaja, opętany rządzią zniszczenia nie mógł się powstrzymać.

W miarę jak oddalał się od wioski, krajobraz pod nim zmieniał się coraz bardziej. Lasy i pola zastąpiły teraz kamienne budynki i rozległy garnizon, w którym zebranych było tysiące żołnierzy w niebiesko-żółtych zbrojach. Pandezjanie. Żołnierze spoglądali w niebo z przerażeniem w oczach. Ci sprytniejsi uciekli; odważniejsi czekali aż smok zniżył lot i wtedy rzucili w jego stronę włóczniami.

Theos jednym tchem zamienił je w unoszący się na wietrze popiół. Kolejny oddech przeznaczony już był dla żołnierzy, którzy rozbiegli się teraz po okolicy. Płomienie paliły ich żywcem, pozostawiając na ziemi puste zbroje. Cieszyła go myśl, że te stalowe pancerze będą rdzewieć tu przez lata, upamiętniając jego wizytę.

Theos leciał coraz dalej na północ, nie mogąc powstrzymać swojej furii. Krajobraz znowu się zmienił, a on nie zwolnił nawet wtedy, gdy dostrzegł w oddali dziwny widok: oto z tunelu w ziemi wyłaniał się gigantyczny potwór, jakiego nigdy dotąd nie widział. To było potężne stworzenie, jednak on nie czuł przed nim strachu. Wprost przeciwnie – czuł wciąż narastający w sobie gniew.

Bestia spojrzała na niego i gdy Theos zniżył lot, w popłochu

zaczęła chować się z powrotem do tunelu. Smok nie miał jednak zamiaru pozwolić jej odejść. Jeśli nie znajdzie swego dziecka, zniszczy ich wszystkich, zarówno ludzi jak i bestie. I nic mu w tym nie przeszkodzi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wezuwiusz stał w tunelu, wpatrując się jak zahipnotyzowany w oświetlające go promienie słońca znad Escalonu. Ten otwór, wysoko nad jego głową, symbolizował zwieńczenie marzeń, zrealizowanie planu, w którego powodzenie nikt, poza nim, nie wierzył. Osiągnął coś, czego nie udało się osiągnąć żadnemu z jego poprzedników – otworzył drogę całemu narodowi Mardy do Escalonu, umożliwiając tym samym dokonanie wielkiej inwazji.

Drobinki pyłu wciąż połyskiwały we wpadającym do tunelu świetle. Wezuwiusz wiedział, że przejście przez ten otwór oznacza wyjście naprzeciw przeznaczeniu. Cały jego lud pójdzie za nim i wkrótce Escalon będzie jego. Uśmiechnął się szeroko na samą myśl o tym festiwalu krwi, o terrorze, który tu wprowadzi. Ludzi uczyni swymi niewolnikami, a terytorium Mardy powiększy dwukrotnie.

– Narodzie Mardy, do boju! – krzyknął.

Za jego plecami wzniosły się okrzyki podniecenia, gdy setki trolli stłoczonych w tunelu podniosło halabardy i ruszyło za swym przywódcą. Prowadził ich w stronę światła, wspinając się w górę tunelu po gruzie i osuwających się kamieniach. Escalon był już w zasięgu jego wzroku.

Wezuwiusz wyobraził sobie te wszystkie zniszczenia, które rozwścieczony gigant poczyni na powierzchni ziemi i uśmiechnął się szerzej. Pozwoli mu się tam zabawić, a gdy uzna, że nie jest

mu już potrzebny, po prostu go zabije. Póki co jednak, bestia stanowiła wspaniałe uzupełnienie jego demonicznego planu.

Nagle ziemia zadrżała i gdy Wezuwiusz podniósł wzrok, zdumiony zobaczył, jak niebo nad nim nagle ciemnieje, a przez otwór wdziera się strumień ognia. Usłyszał przeraźliwy pisk giganta, a w chwilę potem poczuł, jak uderza go ściana gorąca. Widział, jak olbrzym chwiejąc się i wyjąc z bólu, zaczyna pakować się z powrotem do tunelu. Wezuwiusz aż jęknął z przerażenia, gdy zorientował się, że potwór ze spaloną połową twarzy szarżuje prosto na niego.

Nie mógł zrozumieć, co za koszmar się przed nim rozgrywa. Dlaczego gigant zawrócił? Skąd ta fala ciepła? Co spaliło twarz potwora?

Wtedy usłyszał odgłos łopotania skrzydeł i ryk bardziej przerażający nawet od tego, który wydawał z siebie gigant. Poczuł, jak dreszcz przechodzi przez całe jego ciało, gdy uświadomił sobie, że tam, nad powierzchnią ziemi unosi się istota potężniejsza nawet od olbrzyma, której spotkania nigdy by się nie spodziewał. Smok.

Zmrożony strachem Wezuwiusz stał bez ruchu, a za nim cała jego armia trolli uwięziona w potrzasku. Niemożliwe stało się prawdziwe: gigant uciekał przed czymś potężniejszym od siebie. Spalony, w agonii, przerażony, gigant wymachiwał swoimi ogromnymi pięściami, uzbrojonymi w ostre jak brzytwa pazury, torując sobie drogę pomiędzy jego żołnierzami. Wszystko, co stało mu na drodze, ginęło pod jego stopami, rozdzierane było

szponami albo miażdżone pięściami.

I wtedy, zanim zdążył usunąć się z drogi, poczuł jak potwór unosi go w powietrze i rzuca nim o ścianę. Okropny ból przeszył całe jego ciało, gdy głową zarył o skałę. Przed tym, jak stracił przytomność, zdążył jeszcze zobaczyć, jak olbrzym niszczy wszystko wokół siebie, niweczając cały jego plan. Wtedy zdał sobie sprawę, że umrze właśnie tutaj, pod ziemią, gdzie zaledwie kilka metrów dzieli go od spełnienia marzeń.

ROZDZIAŁ TRZECI

Duncan poczuł owiewający go podmuch wiatru, gdy zsuwał się po linie o zachodzie słońca, schodząc w dół majestatycznych szczytów Kos. Trzymał się kurczowo, zjeżdżając szybciej niż, jak mu się wydawało, jest to możliwe. Wokół niego zjeżdżali Anvin i Arthfael, Seavig, Kavos, Bramthos i tysiące innych – jego podwładni, ludzie Seaviga i Kavosa złączeni w jedną armię. Wszyscy zjeżdżali po lodzie w równych rzędach, zdyscyplinowana armia ludzi przeskakujących się nawzajem, by jak najszybciej dotrzeć na dół, zanim zostaną zauważeni. Gdy tylko stopy Duncana dotknęły lodowej ściany, natychmiast odepchnął się znowu, by zeskoczyć dalej. Dłonie miałyby już poszarpane w strzępy, gdyby nie grube rękawice, które dał mu Kavos.

Duncan nie mógł nadziwić się prędkości, z którą poruszała się jego armia, prawie że zeskakując w dół ścian. Gdy byli jeszcze na samej górze, nie miał pojęcia jak Kavos chciał szybko i bezpiecznie zejść z armią tej wielkości; nie miał pojęcia, że mieli na tyle bogaty zestaw lin i czekanów, by zupełnie gładko sprowadzić ich na dół. Ci ludzie stworzeni byli do życia pośród lodu, dla nich to błyskawiczne zejście było niczym codzienny spacer. Wreszcie zrozumiał co mieli na myśli, mówiąc, że to nie oni uwięzieni są w górach. To Pandezjanie, tam w dolinie – to oni siedzą w pułapce.

Kavos zatrzymał się nagle, lądując obiema nogami na długiej i szerokiej płcie wystającej ze zbocza. Duncan i reszta ludzi zatrzymali się obok na krótką przerwę w połowie wysokości górskiej ściany. Kavos podszedł do krawędzi, po chwili Duncan dołączył do niego, by wyrzeć w dół. Podążył wzrokiem za linami, których końce huśtały się daleko w dole; między nimi, jeszcze niżej, przez mgłę i ostatnie promienie słońca zdołał dojrzeć kamienny garnizon Pandezjan przycupnięty przy podstawie góry, tętniący tysiącami zbrojnych.

Duncan zwrócił wzrok na Kavosa, ten zaś odpowiedział spojrzeniem, w jego oczach widać było rozkosz. Rozkosz, którą Duncan rozpoznał od razu, widział ją w życiu już wielokrotnie: ekstaza prawdziwego wojownika, którego chwile tylko dzieli od walki. Tym żyli ludzie tacy jak Kavos. Duncan, przyznając się szczerze, również czuł to mrowienie w żyłach, ten węzeł zaciskający się w brzuchu. Widok Pandezjan sprawiał, że jak każdy nie mógł doczekać się walki.

– Mogłeś sprowadzić nas gdziekolwiek indziej – powiedział, rozglądając się po rozpościerającej się wokół okolicy – Wszędzie wokół jest pusto. Mogliśmy oszczędzić sobie konfrontacji i ruszyć na stolicę. A jednak wybrałeś miejsce, w którym Pandezjanie są najsilniejsi.

Kavos uśmiechnął się szeroko.

– Nie inaczej – odpowiedział – Zbrojni Kavosa nie uciekają od konfrontacji – tylko jej szukają.

Jego uśmiech jeszcze się poszerzył.

– Poza tym – dodał – wcześniej przyjęta bitwa rozgrzeje nas porządnie przed marszem na stolicę. A przy okazji nauczę tych Pandezjan, by dobrze zastanowili się, zanim zdecydują się otoczyć podnóże naszych gór.

Po czym odwrócił się i skinął głową na swojego oficera, Bramthosa, ten zaś zebrał swoich ludzi i wraz z Kavosem ruszyli do ogromnej, lodowej skały leżącej na brzegu urwiska. Wszyscy razem, jak jeden mąż, zaparli się o nią barkami.

Duncan, zorientowawszy się co robią, skinął na Anvina i Arthfaela, którzy tak samo zebrali ludzi. Seavig i jego podwładni dołączyli do nich, by pchać skałę wspólnymi siłami.

Duncan zaparł się mocno i wyteżał wszystkie siły, choć ciężar był ogromny, a podłoże śliskie. Jednak po chwili wspólnego stękania z wysiłku głaz w końcu zaczął się toczyć.

– Prezent na powitanie? – spytał Duncan z uśmiechem, sapiąc ramię w ramię z Kavosem.

Kavos odpowiedział krzywym uśmiechem.

– Ot, taki drobiazg, by zaanonsować nasze przybycie.

Chwilę później Duncan poczuł, że głaz wystrzelił spod ich rąk, usłyszał tylko trzask lodu i wyrztał przez krawędź, by ze zdumieniem oglądać, jak skała stacza się z brzegu urwiska. Cofnął się prędko, jak cała reszta i patrzył tylko, jak spada w dół prędko, jak toczy się i odbija od lodowej ściany, coraz szybciej i szybciej. Ogromny głaz, średnicy jakichś dziesięciu metrów, spadał prosto w dół, niczym anioł zagłady szarżujący na pandezyjski fort poniżej. Duncan spał mięśnie, przygotowując

się na wstrząs, żołnierze tak w dole nie mieli o niczym pojęcia, nie spodziewali się ataku.

Głaz wyrznął w sam środek kamiennego garnizonu, z hukiem głośniejszym, niż cokolwiek Duncan do tej pory słyszał. Zdawało się, jakby na Escalon spadła kometa, echo łoskotu było tak ogromne, że musiał zakryć uszy, aż ziemia zatrzęsła się pod jego stopami tak mocno, że zachwiał się na nogach. Wokół podniosła się ogromna chmura kamiennego i lodowego pyłu, wysoka na kilkadziesiąt metrów. Nawet z takiej odległości doszły ich krzyki przerażenia i bólu. Połowę kamiennego garnizonu rozbiło uderzenie, a głaz toczył się dalej, miażdżąc ludzi, obalając budynki, zostawiając po sobie szeroki zagon zniszczenia i chaosu.

– MEŻOWIE KOS! – zakrzyknął Kavos – Któż miał czelność podejść pod nasze góry?

Odpowiedział mu ogłuszający krzyk, gdy tysiące wojowników w tej samej chwili rzuciło się przed siebie, by skoczyć z brzegu urwiska, zaraz za Kavosem, łapiąc liny i zjeżdżając po nich tak szybko, jakby spadali w dół zbocza. Duncan poszedł za ich przykładem, prowadząc swoich ludzi, skacząc, łapiąc się lin i schodząc tak szybko, że zapierało dech w piersiach; był pewien, że jedyne, co czeka go na dole, to złamany kark.

Jednak po kilku sekundach wylądował twardo dziesiątki metrów poniżej, wskakując w olbrzymią chmurę pyłu i lodu, na ziemi wciąż wstrząsanej przez toczący się głaz. Ich ludzie zwrócili się w kierunku garnizonu i wydali głośny okrzyk

bojowy, obnażyli miecze i w dzikiej szarży skoczyli w chaos pandezyjskiego obozu.

Pandezyjscy żołnierze, wciąż oszołomieni grzmotem, zwracali zdumione twarze, by ujrzeć nacierającą armię; tego się nie spodziewali. Byli zupełnie ogłuszeni, całkowicie zaskoczeni – kilku z ich dowódców leżało martwych, zmiażdżonych pod głazem – wydawali się zbyt zdezorientowani, by w ogóle wiedzieć, co się dzieje. Gdy więc Duncan, Kavos i ich zbrojni rzucili się na nich, część zwróciła się do ucieczki. Inni sięgnęli po miecze – jednak Duncan i jego ludzie opadli ich jak szarańcza i zakłuli zanim którykolwiek zdołał wyciągnąć broń.

Duncan przetoczył się ze swoją drużyną przez obóz, nie zatrzymując się nawet na chwilę – wiedział, że czas działa na ich niekorzyść – na lewo i prawo ścinając oszołomionych żołnierzy, podążając w ślad za niszczycielskim głazem. Ciął wokół szaleńczo, dźgnął jednego w pierś, wyrzwał drugiego w twarz rękojęścią miecza, kopnął następnego, który rzucił się w tą stronę, wreszcie schylił się, by uniknąć ciosu topora wymierzonego w jego głowę i odpowiedział uderzeniem barku. Nie zatrzymywał się ani na chwilę, zabijając wszystkich na swojej drodze, dysząc ciężko; wiedział, że to wróg nadal ma przewagę liczebną, że musi zabić tak wielu jak tylko zdoła, tak szybko jak potrafi.

U jego boku walczył Anvin, Arthfael i reszta jego ludzi, bacząc na swoje plecy, biegnąc razem, tnąc we wszystkie strony i zbijając nadchodzące zewsząd ciosy. Szczęk broni wypełnił

cały garnizon. Bitwa była naprawdę potężna, Duncan wiedział doskonale, że rozsądniej było uniknąć tego starcia i ruszyć na Andros. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że poczucie honoru wojowników Kos sprawiało, że musieli wydać tą bitwę, po prawdzie rozumiał ich doskonale; najmądrzejsze z posunięć nie zawsze było tym, co porywało ludzkie serca.

Posuwali się przez obóz szybko, w zwartym szyku, Pandezjanie zaś byli w takiej rozsypce, że ledwie można to było nazwać obroną. Za każdym razem, gdy dowódca zaczynał wykrzykiwać rozkazy, lub sformował się jakiś szyk, Duncan i jego ludzie natychmiast wycinali ich w pień.

Szli przez garnizon jak burza, ledwie godzina minęła, gdy Duncan wreszcie stanął na drugim krańcu fortu i rozejrzawszy się na wszystkie strony, zorientował się, że pośród morza krwi nie został ani jeden wróg. Stanął bez ruchu, dysząc ciężko, pod ciemniejącym wieczornym niebem, pod górami zasłoniętymi mgłą, wsłuchując się w ogłuszającą ciszę.

Fort został zdobyty.

Jego ludzie, zorientowawszy się, że zwycięstwo należy do nich, zakrzyknęli na wiwat. Do Duncana, który wycierał krew z ostrza i ze zbroi, podszedł Anvin z Arthfaelem, Seavig, Kavos i Bramthos. Na ramieniu Kavosa widoczna była świeża, krwawiąca rana.

– Jesteś ranny – zwrócił uwagę Kavosowi, który zdawał się jej nie zauważać.

Kavos zerknął na nią i wzruszył ramionami. Jego twarz

wykrzywiła się w uśmiechu.

– Rzeczywiście, podrapałem się o czyjś miecz – odpowiedział.

Duncan rozejrzał się po polu bitwy zasłanym trupami, w większości Pandezjan, lecz także i jego ludzi. W końcu zwrócił wzrok ku górze, ku skutym lodem szczytom Kos wiszącym nad ich głowami, ginącym w chmurach, zadziwił się jak wysoko się wspięli i jak szybko zeszli. Naprawdę zaatakowali z prędkością błyskawicy – śmierć spadła na ich wrogów jak deszcz – i udało im się. Pandezyjski garnizon jeszcze kilka godzin temu wyglądał na nienaruszalny, a teraz leżał w gruzach, z całą załogą utopioną w morzu krwi pod ciemniejącym niebem. Zdumiewające. Wojownicy Kos nie oszczędzili nikogo, nie mieli litości, byli niepowstrzymani. Dawny szacunek, który czuł do nich Duncan miał znowu świeże podstawy. Będą ważnymi sojusznikami w walce o wyzwolenie Escalonu.

Kavos także rozejrzał się po ziemi zasłanej trupami, on też dyszał ciężko.

– Tak właśnie ucieka się z pułapki – powiedział.

Duncan zobaczył jak z zadowoleniem spogląda na ciała wrogów, patrząc jak ich ludzie zbierają broń z ciał zabitych.

Kiwnął tylko głową.

– Prawda, sprawiliśmy się – odpowiedział.

Odwrócił się i spojrzał na zachód, daleko, w stronę zachodzącego słońca, na tle którego zobaczył jakiś ruch. Zmrużył oczy i jego serce napełniło się ciepłem, gdy zobaczył

to, czego w gruncie rzeczy bez wątpienia oczekiwał. Daleko, na horyzoncie, stał jego wierzchowiec, dumnie preżąc się na czele stada koni. Jak zawsze wyczuł gdzie znajdzie Duncana i czekał na niego cierpliwie. Serce Duncana skoczyło, wiedział, że stary druh pomoże im pokonać drogę do stolicy.

Duncan gwizdnął, jego koń zaś ruszył mu na spotkanie. Reszta wierzchowców poszła za jego przykładem, z głośnym tętentem galopując przez ośniezoną równinę.

Kavos, stojąc obok, pokiwał głową z uznaniem.

– Konie – powiedział, śledząc je wzrokiem, gdy się zbliżały – Ja do Andros poszedłbym pieszo.

Duncan uśmiechnął się.

– Nie wątpię, przyjacielu.

Duncan wyszedł przed szereg na spotkanie swego rumaka, przywitał go gładząc po grzywie. Skoczył na siodło, za tym przykładem poszli jego ludzie, tysiące zbrojnych dosiadło wierzchowców. Stali tak przez chwilę, w pełnym rynsztunku, spoglądając w zachodzące słońce, przed nimi rozpościerały się zaśnieżone równiny, dzielące ich od stolicy.

Duncan poczuł falę podniecenia, gdy wreszcie, wreszcie byli tak blisko. Czuł to dobrze, powietrze pachniało zwycięstwem. Kavos bezpiecznie sprowadził ich w doliny; teraz czas by *on* przejął dowodzenie.

Wzniósł swój miecz wysoko, czując, że oczy wszystkich ludzi zwracają się ku niemu.

– ŻOŁNIERZE! – wykrzyknął – Na Andros!

Przyjęli komendę z bojowym okrzykiem i ruszyli za nim, spiesząc w noc, poprzez śnieżne równiny, gotowi jechać bez chwili wytchnienia, aż dotrą do stolicy i rozpoczną największą wojnę ich czasów.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zwrócona w stronę wschodzącego słońca Kyra wpatrywała się w stojącą nad sobą postać. Wprost nie mogła uwierzyć, że oto spotkała wreszcie człowieka, dla którego przebyła cały Escalon, dzięki któremu pozna sekret swego przeznaczenia, który będzie ją trenował. To był jej wuj, jedyne ogniwo łączące ją z matką, której nigdy nie знаła.

Aż zamrugła ze zdziwienia, gdy wyłonił się z cienia i w końcu mogła zobaczyć jego twarz. Był do niej niewiarygodnie podobny. Około czterdziestoletni mężczyzna miał szerokie ramiona i muskularne ciało. Był wysoki, zakuty w lśniącą zbroję, wyglądał zjawiskowo. Nigdy wcześniej nie spotkała nikogo, w kim mogłaby odnaleźć swoje rysy. Zawsze czuła się wyobcowana, niepodobna do nikogo z rodziny – nawet nie do swojego ojca – ale teraz, widząc twarz tego człowieka, jego wyraźne kości policzkowe, błyszczące szare oczy i jasnobrązowe włosy, po raz pierwszy w życiu poczuła z kimś więź, przynależność do rodu, do czegoś większego od siebie. Wreszcie znalazła swoje miejsce na ziemi.

Mężczyzna był zupełnie wyjątkowy. Bez wątpienia był dumnym i szlachetnym wojownikiem, choć nie posiadał żadnej broni, nie miał miecza ani tarczy. Ku jej zdumieniu i radości, miał przy sobie tylko jeden przedmiot: złoty *kij*, taki, jak miała i ona.

– Kyra – powiedział do niej.

Jego głos rezonował z jej duszą, głos znajomy, jakby jej własny. Gdy do niej przemówił, poczuła więź nie tylko z nim, ale i ze swoją matką. Przed nią stał człowiek, który wiedział kim była. W końcu dowie się prawdy – nie będzie już więcej tajemnic w jej życiu. Wkrótce będzie wiedziała wszystko o kobiecie, którą zawsze pragnęła poznać.

Wyciągnął do niej dłoń, a ona chwyciła ją i podniosła się na sztywne od wielogodzinnego siedzenia pod więzłą nogi. Jego ręka była silna i muskularna, a przy tym zaskakująco gładka. Leo i Andor zbliżyli się do niego, lecz ku zaskoczeniu Kyry, wcale nie zaczęli warczeć jak zwykle. Zamiast tego podeszli bliżej i polizali jego rękę, jakby znali go od zawsze.

Potem, ku jej zdumieniu, obydwaj stanęli w szeregu, jakby wypełniając niemy rozkaz. Kyra nigdy dotąd nie widziała czegoś podobnego. Jakie zdolności posiadał ten człowiek?

Nie musiała nawet pytać, czy był jej wujkiem – czuła to w każdej komórce swego ciała. Był silny i dumny, dokładnie taki, jaki wyobrażała sobie, że będzie. Było w nim coś jeszcze, coś czego nie mogła do końca nazwać. Promieniowała od niego wyjątkowa energia, aura spokoju, ale i niewiarygodnej siły.

– Wujku – powiedziała. Lubiła dźwięk tego słowa.

– Możesz nazywać mnie Kolva – odpowiedział.

Kolva. To imię brzmiało znajomo.

– Przebyłam Escalon by się z tobą spotkać – powiedziała przejęta, nie wiedząc, co jeszcze dodać. Jej słowa przerwały

absolutną ciszę, która dotąd spowijała jałowe równiny – Ojciec mnie przysłał.

Uśmiechnął się serdecznie, a na twarzy pojawiły mu się zmarszczki człowieka, który żył jakby tysiąc lat.

– To nie ojciec cię przysłał – odpowiedział – lecz coś znacznie większego.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, odwrócił się i ruszył przed siebie, podpierając się złotym kijem.

Kyra patrzyła za nim, zdziwiona; czy czymś go obraziła?

Pobiegła do niego, Leo i Andor przy jej boku.

– A wieża? – powiedziała zdeorientowana – nie wejdziemy do środka?

Uśmiechnął się.

– Może kiedyś – odparł tajemniczo.

– Myślałam, że miałam dotrzeć do wieży.

– I zrobiłaś to – zauważył – choć do niej nie weszłaś.

Szli w stronę lasu. Kyra z trudem dotrzymywała mu kroku, zachodząc w głowę, co miał na myśli.

– To gdzie będziemy trenować? – spytała.

– Będiesz trenowała tam, gdzie trenują wszyscy wielcy wojownicy – odparł i spojrzał przed siebie – W lesie przy wieży.

Wszedł do lasu i choć wydawał się iść spokojnym, równym krokiem, poruszał się tak szybko, że Kyra prawie musiała biec, by za nim nadążyć. Tajemnica spowijająca go pogłębiała się z każdą chwilą; w jej umyśle pojawiało się coraz więcej pytań.

– Czy moja matka żyje? – zapytała śpiesznie, nie mogąc już

dłużej powstrzymać ciekawości – Jest tutaj? Spotkam ją?

Mężczyzna uśmiechnął się tylko i pokręcił głową, nie zwalniając kroku.

– Tak wiele pytań – odpowiedział. Wędrowali przez długi czas, wsłuchując się w odgłosy dzikich stworzeń. W końcu dodał – Sama się przekonasz, że pytania mają tu niewielkie znaczenie. A odpowiedzi jeszcze mniejsze. Musisz nauczyć się szukać własnych odpowiedzi. Ich źródła. A co ważniejsze – źródła pytań.

Kyra zamyśliła się nad jego słowami. Wkrótce weszli tak głęboko w las, że straciła z oczu wieżę i przestała słyszeć szum obijających się o brzeg fal. W głowie pojawiały jej się kolejne pytania i wkrótce nie mogła już dłużej wytrwać w milczeniu.

– Dokąd mnie zabierasz? – spytała – Czy idziemy tam, gdzie będziesz mnie trenował?

Mężczyzna kontynuował marsz wzdłuż krętego potoku, wijącego się pomiędzy starymi drzewami, których zielona kora mieniła się w świetle.

– Nie ja będę cię szkolił – powiedział – tylko twój wujek.

Kyra z zaskoczenia aż przystanęła.

– Mój wujek? – spytała i znowu podbiegła do niego – Myślałam, że to ty jesteś moim wujkiem.

– Jestem – odparł – ale masz jeszcze jednego.

– Jeszcze jednego? – spytała z niedowierzaniem.

Wreszcie dotarli do krawędzi lasu i gdy wylegli na leśną polanę, Kyra aż zaniemówiła z wrażenia.

Po przeciwnej stronie polany rosło ogromne drzewo, największe, jakie kiedykolwiek widziała. Wyglądało, jakby stało tu od tysięcy lat. Jego pień musiał mieć ponad dziesięć metrów szerokości, a rozłożyste gałęzie obsypane były połyskującymi w słońcu fioletowymi liśćmi. Jakieś trzy metry nad ziemią jego poskręcane konary tworzyły coś na kształt małego domku, w którym paliło się pojedyncze światło. Na jednej z gałęzi Kyra dostrzegła zwróconą w ich stronę postać, która wyglądała, jakby była w stanie głębokiej medytacji.

– On także jest twym wujkiem – powiedział Kolva.

Kyry serce zabiło mocniej. Nic z tego nie rozumiała. Patrzyła na człowieka, który rzekomo miał być jej wujkiem i zastanawiała się, czy aby nie robią sobie z niej żartów. Ten drugi wujek wyglądał jej na około dziesięcioletniego chłopca. Siedział idealnie wyprostowany i patrzył przed siebie, ale nie na nią. Miał błyszczące niebieskie oczy. Jego chłopięcą twarz była pomarszczona, jakby miał tysiąc lat, jego skóra pokryta była starczymi plamami. Miał trochę ponad metr wzrostu. Wyglądał jak chłopiec chory na progerię.

Nie wiedziała, co o tym myśleć.

– Kyro – powiedział – poznaj Alwę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Merk wszedł do Wieży Ur przez wysokie, złote wrota, oślepiiony bijącym z jej wnętrza blaskiem. Gdy ręką osłonił oczy przed światłem, ujrzał stojącego przed sobą Obserwatora, który przyglądał mu się w milczeniu swoimi żółtymi ślepiami. Odziany był w żółtą, lejącą się szatę, która dokładnie okrywała całe jego ciało. Twarz miał bladą, pociągłą, z zapadniętymi policzkami i oczami tak przenikliwymi, że Merkowi aż zrobiło się słabo, gdy w nie spojrzał. W rękę trzymał złoty kij, z którego biło światło.

Merk poczuł silny powiew wiatru i usłyszał huk zatraskujących się ze nim drzwi, który rozniósł się echem po pustych murach. Wyczerpany i półprzytomny aż podskoczył na ten dźwięk. Uświadomił sobie wtedy, że od tej chwili nie ma już odwrotu. Ta myśl dodała mu jednak otuchy. Stojąc tam, czuł dziwne poczucie przynależności, jak gdyby w końcu odnalazł swój od dawna poszukiwany dom.

Spodziewał się ciepłego powitania, lecz miast tego Obserwator odwrócił się i odszedł bez słowa, pozostawiając go samego przy drzwiach. Merk nie miał pojęcia co powinien zrobić, zostać tu i czekać na jego powrót, czy za nim podążać.

Obserwator przeszedł na drugą stronę komnaty i ku zaskoczeniu Merka, zamiast wejść na górę, zaczął schodzić w dół po krętych schodach z kości słoniowej. Po chwili zniknął mu z oczu pod ziemią.

Merk stał w milczeniu, zbity z tropu, nie wiedząc, co czynić.
– Czy mam iść za tobą? – zawołał w końcu.

Jego głos odbił się echem od kamiennych ścian, jakby przedrzeźniając go.

Merk rozejrzał się po wnętrzu wieży. Ujrzał lśniącej ściany, wykonane z litego złota; podłogę z czarnego marmuru podszytego złotem. Komnata była słabo oświetlona tajemniczym blaskiem przenikającym przez ściany. Spoglądając w górę, zobaczył antyczne schody rzeźbione w kości słoniowej; podszedł do nich i gdy odchylił głowę, na samym ich szczycie dojrzał złotą kopułę, przez którą przeświecało słoneczne światło. Zastanawiał się, jakie tajemnice skrywają te wszystkie piętra i komnaty, które widział z dołu.

Z tym większą ciekawością spojrział w dół na stopnie, po których przed chwilą zszedł Obserwator, jakby do podziemnego świata. Zachwycające swym pięknem kręte schody z kości słoniowej były niczym dzieło sztuki sięgające zarówno samego nieba, jak i najgłębszych otchłani piekieł. Myśl o tym, że gdzieś w tej wieży może znajdować się legendarny Ognisty Miecz, który chroni całe Escalon, przyprawiała go o dreszcze. Gdzie mógł być ukryty? Na górze czy na dole? Jakie inne relikwie i skarby są tu przechowywane?

Nagle, przez ukryte w bocznej ścianie drzwi wszedł potężny wojownik o surowej twarzy i bladej skórze. Na sobie miał kolczugę, a przy pasie miecz z wyraźnymi insygniami, symbolem, który Merk widział już wcześniej na murach wieży:

kręte schody, wznoszące się ku niebu.

– Tylko Obserwatorzy mogą zejść po tych schodach – przemówił do Merka niskim, szorstkim głosem – A ty, mój przyjacielu, nie jesteś jednym z nich. Przynajmniej na razie.

Mężczyzna zatrzymał się tuż przed nim, podparł ręce na biodrach, po czym zmierzył go wzrokiem z góry na dół.

– Cóż – kontynuował – skoro cię tu wpuścili, pewnie mieli ku temu jakiś powód.

Westchnął.

– Chodź za mną.

Mówiąc to, wojownik odwrócił się i wszedł na schody. Merkowi serce zabiło mocniej, gdy z głową pełną pytań ruszył w ślad za nim.

– Rób swoje i rób to dobrze – niski głos mężczyzny odbijał się echem od ścian – a być może dostąpisz zaszczytu służenia tutaj. Ochranianie wieży jest świętym powołaniem. Do tego trzeba być kimś więcej, niż tylko wojownikiem.

Gdy weszli na wyższy poziom, mężczyzna zatrzymał się i spojrzał Merkowi w oczy tak głęboko, jakby chciał przeświecić jego duszę. Merkowi aż dreszcze przeszły po plecach.

– Wszyscy mamy mroczną przeszłość – powiedział – To ona nas tutaj przywiodła. A jaka cnota leży u podstaw twojej przeszłości? Czy jesteś gotowy, by narodzić się na nowo?

Przerwał, a Merk stał tam jak wryty, starając się zrozumieć jego słowa, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Na szacunek trzeba tu ciężko pracować – kontynuował

– Jesteśmy najznakomitszymi mężami Escalonu. Zdobądź nasz szacunek, a pewnego dnia może zostaniesz jednym z nas. Jeśli ci się to nie uda, zostaniesz poproszony o opuszczenie tego miejsca. Pamiętaj: przez te same drzwi, przez które wszedłeś, możesz równie łatwo wyjść.

Serce Merka zamarło na tą myśl.

– Jak mogę służyć? – zapytał, czując jak rodzi się w nim poczucie celu, do którego tęsknił całe swoje życie.

Wojownik stał tam przez dłuższy czas, po czym odwrócił się i zaczął wchodzić na następny poziom. Merk zastanawiał się, ile sekretów kryje ta wieża, sekretów, których on być może nigdy nie pozna.

Ruszył w ślad za nim, ale gdy tylko wszedł na pierwszy stopień, jakaś silna ręka uderzyła go w pierś, zagradzając dalszą drogę. Merk nie rozumiał, co się dzieje. Patrzył przez chwilę bezradnie, jak wojownik znika na kolejnym piętrze. Spojrzał w bok i zobaczył innego wojownika w złotej kolczudze, który patrzył na niego z góry surowym wzrokiem.

– Ty będziesz służył z innymi na tym poziomie – powiedział szorstko – Jestem twoim dowódcą. Vicor.

Jego nowy dowódca, szczupły mężczyzna o twarzy tak surowej, jak gdyby wyciosanej z kamienia, sprawiał wrażenie osoby nieznoszącej sprzeciwu. Odwrócił się i zdecydowanym ruchem wskazał na otwarte w ścianie drzwi. Merk przeszedł przez nie, zastanawiając się dokąd go prowadzi tymi wąskimi kamiennymi korytarzami. Szli w milczeniu, aż wreszcie

dotarli do ogromnej sali z wysokim, strzelistym sufitem, której kamienne ściany i podłogę oświeślały promienie słońca wpadające do środka przez wąskie okna. Merk był zaskoczony, widząc dziesiątki wpatrujących się w niego twarzy, twarzy wojowników, w oczach których można było wyczytać determinację oraz poczucie obowiązku i celu. Przyodziani w złote kolczugi stali wzdłuż ścian, każdy przy innym oknie, wpatrując się teraz beznamietnym wzrokiem w nowoprzybyłego.

Merk czuł się skrępowany, patrzył na tych mężczyzn w niezręcznej ciszy.

Obok niego Vicor odchrząknął.

– Bracia ci nie ufają – powiedział do Merka – Możliwe, że nigdy ci nie zaufają. I że ty nigdy nie zaufasz im. Tutaj na szacunek trzeba sobie zapracować. I nie licz na drugą szansę.

– Co mam robić? – zapytał Merk, zagubiony.

– Tak samo jak cała reszta – odparł szorstko Vicor – obserwować.

Merk rozejrzał się po kamiennym pokoju, by na samym jego końcu, jakieś 30 metrów dalej, dostrzec otwarte okno, przy którym nie siedział żaden wojownik. Gdy Vicor postąpił w jego kierunku, Merk ruszył za nim, mijając kolejnych wojowników, którzy odprowadzali go wzrokiem, po czym znowu odwracali się do swoich okien. To było dziwne uczucie, być wśród tych ludzi, ale nie być jednym z nich. Jeszcze nie. Merk zawsze walczył samotnie, nie wiedział, jak to jest przynależeć do grupy.

Merk podświadomie wiedział, że wszyscy ci mężczyźni, tak

jak i on, mieli mroczną przeszłość i żadnego innego celu w życiu. Dla każdego z nich ta wieża stała się domem.

Gdy zbliżył się do swojego okna, zauważył, że ostatni człowiek, którego mijał, wygląda inaczej niż reszta. Był młodym chłopakiem, może osiemnastoletnim, o delikatnej skórze i długich blond włosach sięgających do pasa. Był o wiele szczuplejszy od innych i wyglądał jakby nigdy dotąd nie brał udziału w żadnej bitwie. A mimo to stał dumnie i, ku zaskoczeniu Merka, patrzył na niego takimi samymi żółtymi oczami pełnymi zaciekleści, jakimi patrzył na niego Obserwator. Z jednej strony chłopak wyglądał na zbyt kruchego, zbyt wrażliwego by tu być, z drugiej zaś strony jego spojrzenie wywoływało ciarki na karku Merka.

– Nie lekceważ Kyla – powiedział Vicor, patrząc jak chłopak zwraca się w kierunku okna – On jest najsilniejszym z nas i jedynym prawdziwym Obserwatorem. Przysłali go tutaj, by nas chronił.

Merkowi trudno było w to uwierzyć.

Gdy dotarł do swojego posterunku, usiadł przy wysokim oknie i wyjrzał na zewnątrz. Widok, który się przed nim roztoczył, zaparł mu dech w piersiach. Z tego miejsca widać było cały półwysep Ur, jałowe ziemie, korony drzew w odległym lesie, ocean i niebo. Czuł się tak, jakby obserwował stąd cały Escalon.

– Czy to wszystko? – zapytał Merk, wciąż nie do końca rozumiejąc powierzone mu zadanie – Mam tu po prostu siedzieć

i patrzeć?

Vicor uśmiechnął się.

– To jeden z twoich obowiązków.

Merk zmarszczył czoło, rozczarowany.

– Nie przeszedłem całej tej drogi, by siedzieć w wieży – powiedział Merk, ściągając na siebie spojrzenia innych – Jak mam stąd bronić wieży? Nie lepiej by było, gdybym patrolował okolicę z ziemi?

Vicor znowu się uśmiechnął.

– Stąd widać znacznie więcej niż z dołu – odpowiedział.

– A jeśli coś zobaczę? – dopytywał Merk.

– Wtedy zabijesz w dzwon.

Ruchem głowy wskazał na dzwon wiszący przy oknie.

– Na przestrzeni wieków było wiele ataków na naszą wieżę – kontynuował Vicor – Dzięki nam, żaden nie był udany – Jesteśmy Obserwatorami, ostatnią linią obrony. Całe Escalon nas potrzebuje – a sposobów obrony wieży jest wiele.

Przeglądając się, jak dowódca odwraca się i odchodzi, zastanawiał się po cichu, w co on właściwie się wplątał?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Duncan prowadził swoich ludzi galopem pod księżycowym niebem, przez ośnieżone równiny Escalonu, godzina za godziną mijała, gdy jechali w stronę Andros, tam, za horyzontem. Nocna jazda przywoływała wspomnienia dawnych bitew, czasu, gdy mieszkał w stolicy, służąc u starego Króla; zupełnie zagubił się we własnych myślach, wspomnienia pomieszały mu się z teraźniejszością, aż nie był pewien, co z tego jest prawdą. Jak zwykle, wybiegł myślami ku córce.

Kyra. Gdzie jesteś, dziecko? – zastanawiał się.

Duncan miał nadzieję, że jest bezpieczna, że dobrze idzie jej nauka, i że wkrótce znów będą razem, już na zawsze. Czy będzie w stanie znów wezwać Theosa? – myślał. Jeśli nie, nie był pewien, czy uda się im wygrać wojnę, którą rozpoczęła.

Nocne powietrze wypełniał nieustanny rumor galopujących koni i brzęk zbroi. Zimno ledwie docierało do Duncana, jego serce rozgrzane było zwycięstwem, tempem, jakie nabrały sprawy, świadomością, że za jego plecami podążała coraz większa armia, wreszcie niepewnym oczekiwaniem. Wreszcie, po tylu latach, czuł że szczęście zaczyna mu sprzyjać. Wiedział, że Andros będzie dobrze strzeżone, że pilnuje go stały garnizon zawodowej armii, że będą mieli nad nimi znaczną przewagę liczebną, że stolica będzie mocno ufortyfikowana, i że nie mają wystarczająco ludzi, by rozpocząć oblężenie. Wiedział, że czeka

go najważniejsza bitwa życia, która zdecyduje o dalszym losie Escalonu. Cóż, taki był ciężar honoru.

Duncan wiedział także, że walczyli w dobrej sprawie, że napędza ich prawdziwa potrzeba, cel – i, co najważniejsze, działają szybko i z zaskoczenia. Pandezjanie nigdy nie będą spodziewać się ataku na stolicę, nie ze strony podbitego narodu, a już na pewno nie w nocy.

Wreszcie, gdy pierwsze promienie słońca poczęły pokazywać się na horyzoncie, chodź niebo nadal było ciemne, Duncan ujrzał rysującą się w oddali znajomą panoramę stolicy. Tego widoku nie spodziewał się już ujrzeć na własne oczy – sprawił on, że jego serce zabiło szybciej. Wspomnienia znów go zalały, te wszystkie lata, które tu spędził, które poświęcił w lojalnej służbie Królowi i tej ziemi. Wspomniał Escalon u szczytu chwały, dumny, wolny naród, który zdawał się być niepokonany.

Lecz towarzyszyły mu też gorzkie wspomnienia: lud zdradzony przez słabego Króla, to jak poddał stolicę, i cały Escalon. Wspomniał jak on i reszta wielkich dowódców rozpiezchli się po kraju, jak zmuszono ich, by uciekali z podkulonymi ogonami, wygnani do własnych warowni rozsianych po całym kraju. Widok tej majestatycznej panoramy miejskiej sprawiło, że jednocześnie zalała go tęsknota i nostalgia, jak i strach pomieszany z nadzieją. Ta panorama ukształtowała jego życie, rysująca się na horyzoncie linia najwspanialszego miasta Escalonu, gdzie od wieków zasiadali królowie, rozciągająca się tak daleko, że ledwie można było

poznać gdzie się kończy. Duncan westchnął głęboko, ujrzawszy znajome blanki, kopuły i wieże, które wszystkie nosił głęboko w swej duszy. W pewnym sensie czuł tak, jakby powracał do domu – poza tym, że nie był już przegranym, lojalnym dowódcą z dawnych lat. Teraz był silniejszy, nie miał zamiaru kłaniać się nikomu, za plecami zaś prowadził armię.

Dopiero szarzał świt, a miasto wciąż oświetlone było pochodniami, nocna warta dopiero zaczynała otrząsać się z długiej nocy w porannej mgle. Duncan był coraz bliżej, zauważył kolejny szczegół, który sprawił, że aż skreśliło go w trzewiach: niebiesko-żółte proporce Pandezji powiewające dumnie nad murami Andros. Szarpnęło nim obrzydzenie, które zmieniło się w świeże źródło determinacji.

Natychmiast przyjrzał się bramom, serce skoczyło mu radośnie, gdy zorientował się, że pilnuje ich minimalna załoga. Odetchnął z ulgą. Jeśli Pandezjanie wiedzieliby wcześniej, że nadchodzą, wrót strzegłyby tysiące żołnierzy – a Duncan i jego ludzie nie mieliby żadnych szans. To jednak było dowodem, że nie mieli o nich pojęcia. Tysiące skoszarowanych tu pandezyjskich żołnierzy musiało jeszcze spać. Jego armia, szczęśliwie, posuwała się wystarczająco szybko, by dać sobie szansę zwycięstwa.

Element zaskoczenia, Duncan wiedział doskonale, był ich jedyną przewagą, jedyną szansą na to, by zająć ogromną stolicę, ufortyfikowaną szeregami murów pomyślanymi, by wytrzymały napór wielkiej armii. To – i oczywiście wiedza, którą posiadał

o tych umocnieniach i ich słabych punktach. Znał bitwy, które wygrywano mniejszymi siłami. Intensywnie przyglądał się miejskim wrotom, wiedział gdzie musi zaatakować, by dać sobie jakąkolwiek szansę na zwycięstwo.

– Ktokolwiek kontroluje te bramy, ma w garści stolicę! – wykrzyknął do Kavosa i reszty swoich przybocznych – Nie mogą się zamknąć, nie możemy pozwolić, by je zatrzasnęli, za wszelką cenę. Jeśli tak się stanie, nie mamy szans dostać się do środka. Wezmę ze sobą niewielki oddział i tak szybko, jak się da, ruszę do wrót. Wy – powiedział wskazując na Kavosa, Bramthosa i Seaviga – poprowadzicie resztę armii w stronę koszar i osłonicie nasze flanki przed nadchodzącym przeciwnikiem.

Kavos potrząsnął głową.

– Szturm na te bramy z niewielkim oddziałem to szaleństwo – odkrzyknął – Będziesz otoczony, a gdy my będziemy walczyć przy koszarach, trudno nam będzie chronić twoje plecy. To samobójstwo.

Duncan uśmiechnął się.

– Właśnie dlatego to zadanie wybrałem dla siebie.

Popędził konia kopniakiem i wysforował się przed resztą, kierując się w stronę bram, Anvin i Arthfael pospieszyli za nim wraz z tuzinem najbliższych mu żołnierzy, mężczyzn, którzy znali Andros równie dobrze jak on, mężczyzn, którzy walczyli u jego boku przez całe życie, nie musiał nawet wydawać rozkazów. W pełnym galopie skręcili ku miejskim bramom, za sobą zaś ujrzał kątem oka, jak Kavos, Bramthos i Seavig z trzonem ich

armii skracają w stronę pandezyjskich garnizonów.

Serce szalało Duncanowi w piersiach, wiedział, że musi dotrzeć do bram zanim będzie za późno, pochylił więc głowę i jeszcze bardziej spał konia. Galopowali środkiem traktu, przez Most Królewski, wybijając na nim szalone staccato końskimi kopytami. Czuł podniecenie na myśl o zbliżającej się bitwie. W jaśniejącym brzasku dostrzegł zdumioną twarz pierwszego Pandezyjczyka, który dostrzegł ich atak, młodego żołnierza, który zaspany strzegł mostu. Teraz mrugał zaskoczony i spoglądał ku nim zdjęty przerażeniem. Duncan chwilę później był już przy nim i jednym prędkim cięciem miecza zdjął mu głowę z ramion, zanim ten zdołał podnieść tarczę.

Rozpoczęła się bitwa.

Anvin, Arthfael i reszta cisnęli włóczniami, zabijając pół tuzina pandezyjskich żołnierzy, którzy zwrócili się w ich stronę. Nie przerwali galopu, żaden z nich nie zatrzymał się, wiedzieli doskonale, że ich życie wisi na włosku. Pomknęli szybko przez most, jadąc wprost na szeroko otwarte wrota Andros.

Zostało im dobre sto metrów, Duncan spojrzał w górę na legendarne bramy Andros, wysokie na trzydzieści metrów, zdobione złotem, z murami grubymi na trzy metry, wiedział doskonale, że jeśli ta droga zamknie się przed nimi, miasta nie uda się zdobyć. By skruszyć te mury, będzie potrzeba porządnego sprzętu oblężniczego, którego nie mieli, oraz wielu miesięcy i wielu żołnierzy bijących w te bramy – których też im brakowało. Nie zdarzyło się jeszcze, by zdobyto te bramy, choć

przez wieki podejmowano wiele prób. Jeśli nie dotrą do nich na czas, wszystko stracone.

Duncan przyjrzał się garstce pandezyjskich żołnierzy stojącej na straży, z nocnymi latarniami w rękach, zaspanych o świcie, nie spodziewających się ataku, i znów popędził konia, wiedząc, że czas im nie sprzyja. Musiał dotrzeć do nich, zanim cokolwiek zauważą; potrzebował ledwie minuty więcej, by ziścić swoje plany.

Nagle jednak rozbrzmiał dźwięk rogu, a serce Duncana stanęło na chwilę, gdy spojrzawszy w górę zorientował się, tam, wysoko na blankach, spoglądali na nich pandezyjscy strażnicy, dmąc w rogi raz za razem, podnosząc alarm. Dźwięk odbił się echem po miejskich murach. Duncanem wstrząsnął dreszcz przerażenia, gdy zorientował się, że ich jedyna przewaga, którą dysponowali, właśnie zniknęła. Nie docenił przeciwnika.

Pandezyjscy żołnierze u bram ruszyli do akcji. Skoczyli do przodu i naparli ramionami na wrota, po sześciu z każdej strony, pchając z całej siły, by je zamknąć. W tej samej chwili dalszych czterech żołnierzy zaczęło kręcić wielkimi korbami po obu stronach, następnych czterech ciągnęło łańcuchy, po dwóch z każdej strony. Z głośnym skrzypieniem kratownica zaczęła się zamykać. Duncan obserwował ich z przerażeniem, czuł jakby powoli zamykali wieko trumny nad jego sercem.

– SZYBCIEJ! – krzyknął na swego konia.

Przyspieszyli jeszcze bardziej, w ostatnim szaleńczym cwale. Byli coraz bliżej, kilku z jego ludzi cisnęło ku bramom swoje

włócznie w desperackiej próbie – byli jednak za daleko, broń nie dosięgła celu.

Duncan spał swego konia jak nigdy wcześniej, pędząc jak na złamanie karku przed wszystkimi, i gdy zbliżał się do zamykanych bram, poczuł nagle, że coś śmignęło mu koło ucha. Zorientował się, że to oszczep, zerknął w górę, by zobaczyć, że żołnierze na blankach ciskają je w dół. Usłyszał wrzask bólu, gdy zerknął przez ramię ujrzał jednego ze swych ludzi, męznego wojownika, który towarzyszył mu w boju od lat, przebitego przez pierś; spadł martwy z konia.

Duncan gnał dalej, zupełnie porzuciwszy własne bezpieczeństwo, jedyne co miał przed oczami, to zamykające się wrota. Do bram brakowało mu dwudziestu metrów, a były już prawie całkiem zamknięte. Nie mógł do tego dopuścić, za wszelką cenę, nawet jeśli musiałby poświęcić życie.

W ostatnim zrywie samobójczej szarży skoczył z rumaka, mierząc w kurczącą się przerwę między skrzydłami wrót. W ostatniej sekundzie wyciągnął przed siebie miecz, i celnym pchnięciem zablokował szczelinę, choć była o włos bliska zamknięcia. Jego ostrze wygięło się – lecz wytrzymało. Tylko ten kawałek stali powstrzymał wrota przed zatrzaśnięciem się na dobre, tylko to sprawiło, że stolica nie była jeszcze zaryglowana na cztery spusty, że Escalon nie był jeszcze stracony.

Zaskoczeni żołnierze Pandezji, zorientowawszy się, że brama wciąż jest otwarta, spojrzeli jak zaczarowani na miecz Duncana. Po czym nagle wszyscy rzucili się ku niemu. Duncan wiedział,

że musi ich powstrzymać, nawet za cenę życia.

Wciąż oszołomiony upadkiem z konia, z obolałymi żebrami, starał się przetoczyć w bok, by uniknąć ataku pierwszego żołnierza, który właśnie na niego skoczył, jednak nie udało mu się wystarczająco szybko. Ujrzał tylko unoszący się nad jego plecami miecz i spał się w oczekiwaniu śmiertelnego ciosu – gdy nagle wojak wykrzyknął. Duncan obejrzał się, zdumiony, usłyszał rzenie i zobaczył, jak jego rumak pochyła się, by wierzgnięciem kopyta kopnąć wroga w pierś, chwilę przed tym, jak miał uderzyć jego pana. Zerknął na swojego konia z wdzięcznością – wyglądało na to, że po raz kolejny uratował mu życie.

Ta chwila wystarczyła, by Duncan odtoczył się w bok i stanął na nogi, wyciągając zapasowe miecz, gotując się na spotkanie grupki żołnierzy, która właśnie go opadała. Pierwszy żołnierz ciął go z góry, Duncan jednak zablokował cios, unosząc własne ostrze nad głowę i zatoczywszy nim wokół, ciął przeciwnika w bark, obalając go na ziemię. Do następnego podskoczył sam i dźgnął go w brzuch, zanim ten był w stanie zareagować. Przeskoczył upadające ciało i obiema nogami kopnął następnego w pierś, zwalając go do tyłu. Uskoczył w uniku, gdy następny wojak zamachnął się na niego, obrócił się i ciął go przez plecy.

Ten atak odwrócił jego uwagę, jednak kątem oka udało mu się dostrzec ruch – jeden z Pandezjan złapał miecz, który blokował odrzwia i szarpał nim, uczepony rękojeści. Nie ma czasu, pomyślał, po czym zwrócił się w jego stronę, przymierzył i

rzucił w niego mieczem. Ostrze obracało się w powietrzu chwilę, po czym utkwilo mężczyźnie prosto w gardle, chwilę przed tym, jak udało mu się wyciągnąć zakleszczoną broń. Uratował sytuację – jednak teraz pozostał z pustymi rękoma.

Rzucił się w kierunku bramy, chcąc poszerzyć szczelinę, jednak wrogi żołnierz natarł na niego z tyłu i pchnął na ziemię. Jego plecy były teraz doskonałym celem – Pandezjanin podnosił już włócznię, by przebić go na wylot.

Usłyszał tylko okrzyk i kątem oka zobaczył skaczącego ku nim Anvina, który celnym ciosem buławy wytrącił przeciwnikowi włócznię z ręki, zanim ta zatopila się w ciele Duncana. Zeskakując z konia, Anvin obalił wrogiego żołnierza na ziemię, chwilę przed tym jak Arthfael i reszta pojawili się u jego boku, by zaatakować drugą grupę żołnierzy zmierzających w kierunku Duncana.

Wciąż żywy, rozejrzał się wokół i ujrzał, jak strażnicy bramy leżą martwi, wrota zaś nadal zakleszczone są jego mieczem. W oddali zobaczył, że setki pandezyjskich żołnierzy zaczynają wyłaniać się z koszarów i ruszają, by walczyć z Kavosem, Bramthosem, Seavigiem i ich ludźmi. Wiedział, że nie ma chwili do stracenia. Mimo pomocy Kavosa i całej armii, wystarczająco zbrojnych będzie w stanie odłączyć się od głównych sił i skierować ku bramie. Jeśli Duncan prędko nie opanuje sytuacji, będą skończeni.

Uskoczył w bok, gdy kolejna włócznia poleciała w jego stronę z murów. Rzucił się do najbliższego trupa, chwycił łuk ze strzałą,

odchylił do tyłu, wymierzył i strzelił w Pandezjanina, gdy ten nachylił się z kolejną włócznią. Chłopak wrzasnął i spadł z blanków, nie spodziewając się kontrataku. Uderzył z hukiem w ziemię zaraz obok Duncana, który musiał uchylić się, by ciało nie spadło mu na głowę. Z prawdziwą satysfakcją zorientował się, że właśnie zabił chłopaka, który zadał w róg i podniósł alarm.

– DO BRAM! – rozkazał Duncan swoim żołnierzom.

Jego ludzie zebrali się w szyk, zsiadli z koni i ruszyli do niego, by pomóc w rozwarciu masywnych wrót. Szarpali z całych sił – jednak te ledwie drgnęły. Do wysiłku dołączało coraz więcej ludzi, i gdy wszyscy pociągnęli razem, jedno ze skrzydeł zaczęło się otwierać. Uchyłało się powoli, centymetr po centymetrze. Wkrótce między wrotami było wystarczająco miejsca, by Duncan mógł wepchnąć stopę do środka.

Udało mu się wcisnąć ramię przez szparę, zaparł się więc mocno i pchnął z całej siły, sapiąc potężnie i trzęsąc się cały. Pot lał mu się po twarzy mimo porannego chłodu. Z garnizonu wciąż wysypywali się nowi żołnierze. Większość zajmowali walką Kavos, Bramthos i ich ludzie, jednak część omijała ich boki, kierując się w stronę bram. Nagły krzyk rozdarł poranne powietrze i Duncan zobaczył, jak jeden z jego ludzi, dobry człowiek i lojalny oficer, upadła na ziemię. W jego plecach tkwiła włócznia. Obejrzawszy się zauważył z trwogą, że Pandezjanie są już coraz bliżej.

Kilku kolejnych wzniosło swoje włócznie do rzutu. Duncan aż spał się cały, wiedział bowiem, że nie będą w stanie na

czas przedostać się przez wrota. Nagle, ku jego zaskoczeniu, wrogowie zatrzymali się i upadli twarzami w ziemię. Plecy mieli naszpikowane strzałami i mieczami. Duncan z ulgą zorientował się, że Bramthos i Seavig odłączyli się od Kavosa, który trzymał w szachu garnizon, i poprowadzili setkę ludzi im na pomoc.

Duncan podwoił wysiłki, pchając z całej siły, aż Anvin i Arthfael byli w stanie wcisnąć się obok niego, trzeba im było rozchylić szczelinę na tyle szeroko, by reszta ludzi mogła się w niej zmieścić. Wreszcie, gdy coraz więcej i więcej z nich wpychało się w przerwę między wrotami, zdołali zaprzeć się na tyle mocno w ośnieżoną ziemię, by pchać wrota wolnym krokiem. Duncan stawiał stopę za stopą, aż wreszcie, z głośnym skrzypieniem, brama otworzyła się do połowy.

Z tyłu dobiegł ich zwycięski okrzyk, więc Duncan obrócił się, by ujrzeć Bramthosa i Seaviga na czele stu wojowników, spieszących ku nim konno, w kierunku otwartej bramy. Duncan odzyskał swój miecz, wzniosł go wysoko i ruszył do ataku, prowadząc swych zbrojnych przez bramę, przestąpiwszy granicę stolicy, zapominając o własnym bezpieczeństwie.

Z góry wciąż spadał na nich deszcz włóczy i strzał. Duncan szybko zorientował się, że muszą zdobyć blanki, na których na domiar złego stały katapulty, zdolne zadać ogromne straty walczącym poniżej. Zerknął na mury, próbując obmyślić najlepszy sposób podejścia, gdy nagle usłyszał kolejny krzyk i zobaczył, że przed nimi zbiera się kolejny oddział pandezyjskich żołnierzy.

Duncan zwrócił się ku nim odważnie.

– MEŻOWIE ESCALONU, SPÓJRZCIE NA SZCZURY, KTÓRE ZALEĞŁY SIĘ W NASZEJ WSPANIAŁEJ STOLICY! – zakrzyknął.

Jego ludzie odpowiedzieli mu okrzykiem i rzucili się za nim do walki, gdy Duncan skoczył z powrotem na konia i poprowadził ich na powitanie wroga.

Chwilę później powietrze wypełniło się szczękiem oręża, gdy żołnierz starł się z żołnierzem, a koń napotkał konia. Duncan i setka jego ludzi zaatakowała setkę pandezyjskich zbrojnych. Mimo że Pandezjanie zostali zaskoczeni o świcie, teraz poczuli zapach łatwego zwycięstwa, gdy zobaczyli Duncana i jego garstkę – jednak nie spodziewali się tak wielkiej odsieczy za ich plecami. Był w stanie dojrzeć migające w ich oczach przerażenie na widok Bramthosa, Seaviga i reszty wlewającej się przez miejskie bramy.

Duncan uniósł miecz wysoko, by zablokować cięcie mieczem, po czym wbił sztych w brzuch wrogiego żołnierza, obrócił się i grzmotnął kolejnego tarczą, po czym złapał włócznię przytroczoną do siodła i rzucił nią w następnego. Mężnie wycinał w tłumie krwawą ścieżkę, na lewo i prawo zabijając wrogów, dokładnie tak samo jak Anvin, Arthfael, Bramthos, Seavig i ich ludzie wszędzie wokół. Wspaniale było być znowu w stolicy, pośród tych ulic, które kiedyś znał tak dobrze – a jeszcze lepiej bronić jej przed Pandezjanami.

Wkrótce dziesiątki ciał leżało u jego stóp, nie byli w stanie

powstrzymać naporu Duncana i jego grupy, którzy niczym spieniona fala przelewali się przez stolicę o świcie. Mieli zbyt dużo do stracenia, przebyli zbyt długą drogę, a ci tutaj byli daleko od domu, słabł w nich duch walki, nie pchał ich sprawiedliwy cel, ich przywódcy byli gdzieś daleko. Byli zupełnie nieprzygotowani. W końcu nigdy jeszcze nie spotkali w walce prawdziwych wojowników Escalonu. Gdy fala zwycięstwa przechyliła się na ich korzyść, resztką Pandezjan zwróciła się do ucieczki, poddając plecy – jednak Duncan i jego ludzie byli szybsi. Dopadali ich jednego po drugim i obalali celnymi strzałami i włóczniami, aż nikt nie został żywy.

Drogę w głąb stolicy mieli już czystą, nadal jednak opadały ich strzały i włocznie ze wszystkich stron. Duncan odwrócił się więc i znów skoncentrował na blankach. Usłyszał, jak kolejny z jego ludzi spada z konia, śmiertelnie ugodzony strzałą. Musieli dotrzeć na mury, wysoko, nie tylko by powstrzymać napór ostrzału, ale również by wspomóc Kavosa; w końcu Kavos nadal walczył pod murami z przeważającymi siłami wroga. Potrzebował pomocy Duncana z góry, potrzebował katapult, jeśli miał mieć jakiegokolwiek szanse na przeżycie.

– NA MURY! – wrzasnął Duncan.

Jego ludzie wykrzyknęli na wiwat i jak jeden mąż ruszyli we wskazanym kierunku. Gdy dał im znak, rozdzielili się na dwie grupy, połowa poszła za nim, połowa zaś za Bramthosem i Seavigiem na drugą stronę dziedzińca, by zaatakować inne wejście. Duncan ruszył ku kamiennym schodom, które szły

wzdłuż muru, prowadząc na blanki. Strzegł ich tuzin żołnierzy, którzy z przerażeniem czekali na nadchodzący szturm. Duncan zaatakował ich wściekle, wraz ze swymi ludźmi rzucając włóczniami, by tamci nie mieli nawet czasu podnieść tarcz. Nie było chwili do stracenia.

Spojrzał w górę i zobaczył, jak pandezyjscy żołnierze zbiegają w dół z wysoko podniesionymi włóczniami, gotowymi do rzutu. Wiedział, że mają przewagę. Nie chcąc marnować czasu na walkę wręcz, postanowił przyjąć inną taktykę.

– DO ŁUKÓW! – wydał rozkaz żołnierzom za swymi plecami.

Wypowiedziawszy te słowa, padł na ziemię, by w chwilę później usłyszeć nad swoją głową świst przelatujących strzał. Zerknął w górę i z satysfakcją zobaczył, jak ludzie zbiegający do nich wąskimi, kamiennymi schodami potykają się i lecą w bok, z krzykiem spadając na bruk dziedzińca daleko w dole.

Duncan znów ruszył po schodach, startł się z żołnierzem, jako że coraz więcej schodziło po stopniach, i zrzucił go przez krawędź. Okręcił się wokół i uderzył kolejnego tarczą, także posyłając go w dół, po czym skoczył z mieczem przed siebie i dźgnął następnego pod brodę.

To jednak postawiło go w odsłoniętej pozycji na wąskich schodach, jednemu z Pandezjan udało się zaskoczyć go od tyłu i pociągnąć w stronę krawędzi. Duncan z całej siły złapał się, drapiąc nagi kamień, nie mogąc znaleźć oparcia, prawie już spadł w dół – gdy nagle mężczyzna siłujący się z nim zwiotczał i spadł

mu przez ramię, martwy. Duncan dojrzał, że w plecach tkwił mu miecz, gdy zaś odwrócił się, zobaczył Arthfaela, który podniósł go na nogi.

Nacierał dalej, dziękując, że miał takich ludzi u swego boku, wbiegał coraz wyżej i wyżej, unikając włóczni i strzał, blokując część tarczą, aż wreszcie wbiegł na same blanki. Na górze znajdował się szeroki, kamienny dach barbakanu, krąg jakichś dziesięciu metrów średnicy, zaraz ponad bramą, wypełniony po brzegi pandezyjskimi żołnierzami, którzy stali ramię przy ramieniu, wszyscy uzbrojeni w łuki, włócznie i oszczepy, ostrzeliwując zaciekle drużynę Kavosa poniżej. Gdy Duncan wszedł na górę ze swoją grupą, zaprzestali ataku na Kavosa, swoją uwagę zwrócili na nowo przybyłych. W tym samym czasie Seavig i reszta dostali się na szczyt schodów po drugiej stronie dziedzińca i atakowali żołnierzy od drugiej flanki. Złapali ich w kleszcze, nie było im gdzie uciekać.

Starcie było ciężkie, w bliskim zwarcu, mężczyźni po obu stronach walczyli o każdy centymetr murów. Duncan uniósł swą tarczę i miecz, gdy szczęk oręża i zapach krwi wypełnił powietrze, zaczął przecinać się do przodu, obalając jednego wroga po drugim. Uskoczył, by uchylić się przed ciosem, po czym uderzył barkiem, spychając więcej jak jednego wroga z góry. Z wrzaskiem spadli na spotkanie śmierci poniżej, wiedział doskonale, że czasem najlepszą bronią wcale nie jest stal.

Krzyknął z bólu, otrzymawszy cięcie w brzuch, szczęśliwie skręcił ciało odpowiednio, ostrze tylko go drasnęło. Gdy żołnierz

zbliżył się, by zadać śmiertelny cios, Duncan, nie mając miejsca na manewry, wyrznął go głową, sprawiając, że ten upuścił miecz. Następnie uderzył go kolaniem, sięgnął do niego rękoma, złapał mocno i przerzucił przez krawędź.

Walczył bez wytchnienia, każdy metr okupił ciężkim wysiłkiem, jako że słońce stało już wyżej i pot zalewał mu oczy. Jego ludzie stękali i wznosili okrzyki bólu ze wszystkich stron, zaś jego ramiona bolały już od zabijania.

Zaczerpnął kolejny oddech, cały kleił się od krwi przeciwnika, dał jeszcze jeden krok przed siebie i uniósł miecz – by z zaskoczeniem stwierdzić, że przed sobą ma tylko Bramthosa, Seaviga i ich ludzi. Rozejrzał się wokół, zobaczył okolicę zaśnaną trupami i w zadziwieniu stwierdził, że dokonali celu – oczyścili blanki.

Chwilę później podniósł się okrzyk zwycięstwa, gdy ich ludzie spotkali się pośrodku.

Jednak Duncan wiedział, że sytuacja wciąż nagli.

– STRZAŁY! – wykrzyknął.

Natychmiast spojrzał w dół, na ludzi Kavosa, zobaczył, że pod nimi rozgrywa się ogromna bitwa, na dziedzińcu poniżej, jako że kolejne tysiące pandezyjskich żołnierzy wyległo z koszarów na ich spotkanie. Okrążenie powoli zamykało się wokół Kavosa.

Ludzie Duncana porwali łuki z ciał zabitych, przycelowali nad murami i zaczęli strzelać w dół, w Pandezjan, on sam także złapał za łuk. Wrogowie nie spodziewali się, że będą ostrzeliwać ich ze stolicy, padali więc jak muchy, w skrwawioną

ziemię, choć jeszcze chwilę temu zyskiwali przewagę nad armią Kavosa. Wszędzie wokół Pandezjanie zaczęli ginąć, wkrótce zaś podniosła się panika, gdy zorientowali się, że Duncan kontroluje mury. Zamknięci między nim i Kavosem – nie mieli gdzie uciekać.

A Duncan nie miał zamiaru dać im okazji, by się przegrupować.

– WŁÓCZNIE! – rozkazał.

Sam złapał za jedną i cisnął ją w dół, i kolejną, kolejną, korzystając z ogromnej rezerwy broni zebranej na murach, pomyślanej dla odparcia atakujących Andros.

Szyki Pandezjan zaczęły się chwiać, jednak Duncan wiedział, że potrzebują czegoś spektakularnego, by wykończyć ich szybko.

– KATAPULTY! – krzyknął.

Jego ludzie rzucili się do katapult ustawionych na murach i chwycili za grube liny, zaczęli kręcić korbami i celować. Umieścili głowy w koszach i zatrzymali się, czekając na rozkaz. Duncan przeszedł wzdłuż szeregu i poprawił pozycję katapult, by kamienie ominęły drużynę Kavosa i trafiły celnie we wroga.

– OGNIA! – krzyknął wreszcie.

Dziesiątki głazów poszybowało w górę, Duncan spoglądał z satysfakcją, jak spadały w dół i roztrzaskiwały kamienne koszary, zabijając dziesiątki Pandezjan na raz, gdy ci wciąż wylewali się na zewnątrz, jak mrówki, by walczyć z ludźmi Kavosa. Grzmot odbił się echem po dziedzińcu, ogłuszając Pandezjan i potęgując ich panikę. Podniosła się chmura pyłu i

gruzu, oni zaś kręcili się w niej w kółko, nie wiedząc z której strony znajduje się wróg.

Kavos, jako że był doświadczonym wojownikiem, szybko wykorzystał ich wahanie. Zebrał swoich ludzi i ruszył do przodu z nową mocą, więc gdy Pandezjanie rozproszyli się, przeciął krwawą drogę przez ich szeregi.

Ciała padały na lewo i prawo, pandezyjski obóz poszedł w rozsypkę, wkrótce odwrócili się i poczęli uciekać we wszystkich kierunkach. Kavos dopadał każdego z osobna. Rozpoczęła się rzeź.

Do czasu, gdy słońce podniosło się w pełni, wszyscy Pandezjanie leżeli pokotem, bez życia.

W końcu zapadła cisza, Duncan zaś spoglądał w dół, oszołomiony, wypełniony rosnącym poczuciem zwycięstwa; zorientował się, że dokonali niemożliwego. Zdobyli stolicę.

Wszyscy jego ludzie wznosili wokół okrzyki, poklepując go po ramionach, ciesząc się i ściskając nawzajem, Duncan tylko otarł pot z oczu, wciąż dysząc ciężko, powoli dochodziło do niego, co się zdarzyło: Andros było wolne.

Stolica należała do nich.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zadarkwszy głowę, Alec spojrział oszołomiony na bramę Ur, przez którą przechodził właśnie razem z tysiącem innych przejezdnych. Szedł przy Marco, podziwiając marmurowy łuk, wznoszący się jakieś trzydzieści metrów ponad ich głowami. Potężne ściany starożytnej świątyni stanowiły jednocześnie wejście do miasta. Wielu wiernych klęczało przed tymi murami, ludzie ze wszystkich stron świata, których modlitwom towarzyszyły odgłosy codziennego życia miasta. Niegdyś i on modlił się do bogów Escalonu. Teraz zastanawiał się już tylko nad tym, jaki bóg pozwoliłby umrzeć jego rodzinie? Jedynym bogiem, któremu teraz mógł służyć, był bóg zemsty – i był mu oddany całym sercem.

Alec był oszołomiony dochodzącymi go zewsząd nowymi zapachami, obrazami i dźwiękami. To miasto niczym nie przypominało jego rodzinnej wioski ani żadnego innego miejsca, w którym dotąd był. Przyglądał się ze zdumieniem tej mieszaninie ludzi pochodzących z różnych zakątków świata, odzianych w egzotyczne stroje, mówiących niezrozumiałymi językami. To było prawdziwie kosmopolityczne miasto. Po raz pierwszy od śmierci swojej rodziny poczuł, że żyje. Jego serce napełniło się radością, gdy uświadomił sobie, że te mury kryją wielu jemu podobnych, przyjaciół Marco, których życiem kieruje teraz żądza zemsty na Pandezjanach.

– Pochyl głowę – Marco szturchnął Aleca, kiedy wtopieni w tłum przechodzili przez wschodnią bramę – Tam – ruchem głowy wskazał grupę pandezyjskich żołnierzy, którzy obstawiali wejście do miasta – Sprawdzają przyjezdnych. Jestem pewien, że to właśnie nas szukają.

Alec odruchowo zacisnął dłoń na swoim sztylcie, lecz Marco natychmiast położył rękę na jego nadgarstku.

– Nie tutaj, mój przyjacielu – powstrzymał go Marco – To nie jest mała wioska na peryferiach, a warowne miasto. Zabij dwóch Pandezjan przy bramie, a ściągniesz na siebie całą armię.

Marco spojrzał na niego wymownie.

– Chcesz zabić dwóch Pandezjan? – przekonywał – czy dwa tysiące?

Alec wiedział, że Marco ma rację, a mimo to nie łatwo mu przyszło zwolnić uścisk na rękojeści sztyletu. Tak bardzo pragnął zemścić się na tych łajdakach.

– Będzie jeszcze wiele okazji, przyjacielu – powiedział Marco, gdy przeciskali się przez tłum ze schyłonymi głowami – Moi towarzysze są tutaj, mamy silne wsparcie.

Starając się jak najmniej rzucać w oczy, chłopcy spuścili wzrok i wpatrując się w czubki swoich butów, ruszyli przed siebie.

– Hej, ty! – warknął pandezyjski żołnierz, gdy przechodzili obok niego. Alec czuł jak serce podchodzi mu do gardła.

Strażnicy rzucili się w jego stronę, a on zacisnął dłoń na sztylcie w oczekiwaniu na atak. Odetchnął z ulgą, gdy złapali

za ramiona młodego chłopaka stojącego zaraz przy nim i chwyciwszy go za włosy, odchyłili głowę, by przyjrzeć się dokładnie jego twarzy. Korzystając z okazji Alec przemknął przez bramę niezauważony.

W końcu wkroczyli na miejski rynek i gdy Alec zsunął z głowy kaptur i uniósł wzrok, aż oniemiał z wrażenia. Przed nim roztaczał się spektakularny widok na cuda architektury, jakich dotąd nie widział. Miasto pulsowało życiem, całe lśniło w promieniach słońca. Najbardziej niesamowite były wszechobecne kanały, którymi niczym krew w żyłach, płynęła błękitna woda, przez co czuło się, jakby miasto stanowiło jedność z morzem. Po kanałach pływały statki każdego typu, wiosłowe i żaglowe, a nawet czarne jak smoła okręty wojenne pod niebieskimi i żółtymi banderami Pandezji. Wzdłuż kanałów ciągnęły się brukowane ulice, którymi przechadzali się przejezdni ze wszystkich stron świata. Byli wśród nich rycerze i żołnierze, mieszczenie, handlarze, chłopci i żebracy, zonglerzy, kupcy i rolnicy, miejscowi i ludzie przybyli z morza, którzy odwiedzali ten największy port Escalonu tylko przejazdem. Bandery wszystkich krajów powiewały na masztach przycumowanych do brzegu statków, jakby cały świat spotkał się w tym jednym miejscu.

– To dzięki wysokim klifom otaczającym Escalon nasz kraj jest tak trudny do zdobycia – Marco wyjaśniał nie zwalniając kroku – Ur ma jedyną plażę dostępną dla statków. Escalon ma inne porty, ale nie tak łatwo dostępne. Więc ktokolwiek chce do

nas zawitać, zawsze przypyływa tutaj – dodał i szerokim ruchem dłoni wskazał na gromadzących się tu ludzi i statki.

– Ma to zarówno dobre, jak i swoje złe strony – kontynuował – Przynosi ogromne zyski z handlu i rzemiosła. Kupcy przybywają z najdalszych nawet zakątków królestwa.

– A złe? – zapytał Alec, gdy przeciskali się przez kłębiący się na targowisku tłum.

– Sprawia, że Ur jest podatne na ataki z morza – odparł – To najlepsze miejsce na przeprowadzenie inwazji.

Alec studiował panoramę miasta w zachwycie, podziwiając imponujące dzwonnice i niekończące się szeregi wysokich budynków. Nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego.

– A wieże? – zapytał, patrząc na szereg wysokich, kwadratowych wież zwieńczonych blankami, które królowały nad miastem zwrócone ku morzu.

– Zostały zbudowane, by móc z nich obserwować morze – odpowiedział Marco – Na wypadek inwazji. Chociaż po kapitulacji króla na niewiele nam się już zdały.

Alec zastanawiał się przez chwilę.

– A jeśli by się nie poddał? – zapytał wreszcie – Czy Ur mogłoby odeprzeć atak z morza?

Marco wzruszył ramionami.

– Nie jestem dowódcą – powiedział – ale wiem, że mamy swoje sposoby. Z pewnością możemy odeprzeć atak piratów i bandytów. Flota to już co innego. Ale w swojej tysiącletniej historii, Ur nigdy nie upadło – a to o czymś świadczy.

Z oddali dochodził ich dźwięk dzwonów, który mieszał się z krzykiem krążących nad ich głowami mew. Gdy przedzierał się przez ludzki gąszcz, otoczeni oszałamiającymi zapachami aromatycznych przypraw i świeżo przyrządzonych potraw, Alecowi zaczęło niemożliwie burczeć w brzuchu. Z szeroko otwartymi oczami przyglądał się bogato zastawionym straganom, które mijali po drodze. Egzotyczne przysmaki i nieznane dotąd przedmioty przykuwały jego uwagę. Wszystko działo się tutaj tak szybko, ludzie zdawali się być w ciągłym pośpiechu, jakby nie istniało jutro.

Alec podszedł do stoiska, na którym wyłożone były największe czerwone owoce jakie kiedykolwiek dotąd widział, i już sięgał do kieszeni, by kupić jeden, gdy nagle poczuł, jak ktoś z boku trąca go mocno w ramię.

Obróciwszy się, zobaczył potężnego mężczyznę w średnim wieku, który stał nad nim z groźną miną i wykrzykiwał coś w języku, którego Alec nie rozumiał. Nagle pchnął go tak mocno, że Alec poleciał do tyłu i z całym impetem wylądował na brukowanej ulicy.

– Po co te nerwy? – Marco zagroził mężczyźnie drogę, starając się go uspokoić.

Alec, normalnie spokojny i opanowany, czuł, jak ze złości puszcza mu nerwy. To było nieznane mu dotąd uczucie, tłąca się w nim od śmierci rodziny wściekłość, musiała wreszcie znaleźć swoje ujście. Ta sytuacja przelała czarę goryczy i w jednej chwili stracił nad sobą panowanie. Zerwał się na równe

nogi i z zaskakującą nawet jego samego siłą, uderzył mężczyznę prosto w twarz, przewracając go na stoisko po drugiej stronie ulicy.

Zaskoczony tym, że zdołał jednym ciosem powalić na ziemię znacznie większego od siebie człowieka, Alec stał tam jak wryty, nie wiedząc co robić. Marco przyglądał się całej sytuacji z niedowierzaniem.

Na rynku wybuchło ogromne zamieszanie, gdy z jednej uliczki zaczęli nadbiegać towarzysze podnoszącego się teraz z ziemi bambra, z drugiej zaś wyłonił się oddział uzbrojonych po zęby Pandezjan. Alec i Marco spojrzeli po sobie w panice.

– Spadamy stąd! – wrzasnął Marco, szarpiąc Aleca za ramię.

Alec natychmiast ruszył za swoim przyjacielem, który lawirując zwinnie pomiędzy straganami, zniknął w labiryncie wąskich uliczek. Marco poruszał się po tym mieście z niebywałą gracją. Zdawało się, że zna tu każdy zaułek, każdą dziurę w bruku. Alec ledwo za nim nadążał, a mimo to, gdy obejrzał się przez ramię, za plecami zobaczył zbliżających się coraz bardziej przeciwników. Wiedział, że jeśli dojdzie do konfrontacji, nie będą mieli najmniejszych nawet szans na wygraną.

– Tutaj! – wrzasnął Marco.

Alec zobaczył, jak Marco zeskakuje do kanału i nie myśląc wiele, ruszył w jego ślady, szykując się na kąpiel.

Ku swemu zaskoczeniu, zamiast w wodzie, wylądował na kamiennej półce, której nie sposób było zobaczyć w góry. Marco, dysząc ciężko, zapukał cztery razy w tajemnicze

drzwiane drzwi, wbudowane w kamienną ścianę poniżej ulicy. Po chwili drzwi otworzyły się i obaj chłopcy zniknęli w ciemności. Zanim to się jednak stało, kątem oka Alec zdążył jeszcze dostrzec nadbiegających mężczyzn, którzy nie mogąc nigdzie dojrzeć uciekinierów, zatrzymali się nad krawędzią kanału ze zdezorientowanym wyrazem twarzy.

Brocząc w wodzie po kostki, Alec biegł teraz podziemnym korytarzem, zastanawiając się, gdzie właściwie są. Już wkrótce, po tym jak kolejny raz wzięli ostry zakręt, ponownie ujrzał światło słoneczne.

Wbiegli do dużego kamiennego pomieszczenia, które oświetlały przenikające przez kratkę kanalizacyjną promienie. Rozejrzał się wokół, by ze zdumieniem stwierdzić, że otacza go grupka chłopców mniej więcej w jego wieku, o umorusanych błotem twarzach i wesołych, przyjaznych uśmiechach. Marco, wciąż z trudem łapiąc oddech, powitał swoich przyjaciół serdecznym uśmiechem.

– Marco! – wykrzyknęli wszyscy i rzucili mu się w ramiona.

– Jun, Saro, Bagi – Marco ścisnął wszystkich ze łzami w oczach.

Było jasne, że traktuje tych chłopców, jak swoich braci. Wszyscy byli w podobnym wieku, wysocy, barczyści, o twarzach zdradzających niełatwe życie ludzi, którzy codziennie musieli walczyć o przetrwanie.

Marco przyciągnął Aleca do siebie.

– A to – oświadczył – to jest Alec. Od teraz jest jednym z nas.

Jednym z nas – pomyślał Alec – jak to pięknie brzmi. Dobrze było być częścią grupy.

Każdemu z nich uściśnął ramię na znak wspólnoty.

– Więc to ty rozpętałeś tę burzę? – zapytał z uśmiechem Bagi, najwyższy z nich.

Alec uśmiechnął się, lekko zmieszany.

– Facet mnie pchnął – próbował się usprawiedliwić.

Pozostali wybuchli śmiechem.

– Powód dobry jak każdy inny by ryzykować życie w tak pięknym dniu – Saro odpowiedział wesoło.

– Teraz jesteś w mieście, chłopaku – powiedział Jun surowo, w przeciwieństwie do innych nie uśmiechając się wcale – Naraziłeś nas wszystkich na niebezpieczeństwo. To było bardzo głupie. Tutaj ludzi nic nie obchodzi, będą cię popychać a nawet gorzej. Uważaj gdzie leziesz, a jeśli ktoś na ciebie wpadnie, nie odwracaj się, bo możesz skończyć ze sztyłem w plecach. Tym razem miałeś szczęście. To Ur. Nigdy nie wiesz, kogo spotkasz na ulicy. Ludzie gotowi są tutaj podciąć ci gardło z byle powodu – a niektórzy nawet i bez powodu.

Jego nowi towarzysze odwrócili się nagle i ruszyli przed siebie w głąb przepastnych korytarzy. Nie myśląc wiele, Alec pospieszył za nimi. Wszyscy zdawali się znać te korytarze lepiej niż własną kieszeń. Mimo panujących tam prawie zupełnych ciemności, z łatwością przemierzali podziemne tunele, jakby spędzili w nich pół życia. Alec był pełen podziwu dla ich poczucia orientacji i znajomości topografii miasta. Widać było

już na pierwszy rzut oka, że ci chłopcy niejedno wycierpieli. Przez całe życie mogli polegać wyłącznie na sobie. Byli prawdziwymi twardzielami, doświadczonymi przez los.

Chłopcy kluczyli przez jakiś czas mrocznymi alejkami, po czym wdrapali się po metalowej drabinie z powrotem na powierzchnię ziemi w zupełnie innej, choć równie zatłoczonej, części Ur. Alec odwrócił się i rozejrzał po dużym rynku z miedzianą fontanną po środku. Nie miał bladego pojęcia, gdzie się obecnie znajdują.

Chłopcy zatrzymali się przed niskim, niewyróżniającym się niczym kamiennym budynkiem z czerwonym dachem. Bagi zapukał dwa razy i po chwili zardzewiałe drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. Cała grupa szybko wemknęła się do środka, zatraskując za sobą drzwi.

Alec znalazł się w mrocznym pokoju, oświetlonym wyłącznie słabym światłem słonecznym. Natychmiast rozpoznał dźwięk młotów, uderzających w kowadła i z zainteresowaniem rozejrzał się po pokoju. W głębi zobaczył znajome tumany pary i od razu poczuł się jak w domu. Był w kuźni pełnej kowali wyrabiających broń. Jego serce zabiło mocniej z podniecenia.

Wysoki, szczupły mężczyzna koło czterdziestki, z krótką brodą i poczerniałą od sadzy twarzą, wytarł ręce o fartuch i zbliżył się do nich. Skinął głową na znak szacunku, a oni odpowiedzieli uśmiechem.

– Fervil – powiedział Marco.

Fervil odwrócił się i gdy zobaczył Marco, jego twarz

pojaśniała. Podszedł i objął go serdecznie ramieniem.

– Myślałam, że służysz w Płomieniach – powiedział.

Marco uśmiechnął się.

– Już nie – odpowiedział.

– Chłopcy, gotowi do pracy? – zapytał, a potem spojrzała na Aleca – A kogo my tu mamy?

– To mój przyjaciel – wyjaśnił Marco – Alec. Wprawny kowal, chętny służyć sprawie.

– Czyżby? – zapytał sceptycznie Fervil i rzucił Alecowi pogardliwe spojrzenie – Wątpię w to – ciągnął – Mi wygląda na chuderlawego młodzika. Ale może się przydać do porządkowania złomu. Weź to – powiedział, wręczając mu wiadro pełne odpadków z produkcji – Dam ci znać, jeśli będziesz do czegoś jeszcze potrzebny.

Alec poczerwieniał, oburzony. Nie rozumiał, dlaczego ten człowiek pała do niego taką niechęcią – być może czuł się zagrożony. W kuźni zapadła cisza i Alec wiedział, że inni czekają na jego reakcję. Pod wieloma względami ten człowiek przypominał mu jego ojca, a to tylko zwiększyło jego gniew.

W środku cały się gotował. Po śmierci rodziców poprzysiągł sobie, że już nigdy nie będzie tolerował takiego zachowania w stosunku do siebie.

Gdy inni zaczęli rozchodzić się już do swoich zajęć, Alec cisnął na kamienną podłogę wiadro pełne metalu. Ogluszeni hukiem, odwrócili się natychmiast, w napięciu obserwując sytuację.

– Wynoś się z mojego warsztatu! – wrzasnął Fervil.

Alec zignorował go i podszedł do najbliższego stołu, z którego wziął długi miecz. Wyciągnął go przed siebie i obejrzał uważnie.

– To twoje dzieło? – zapytał Alec.

– Za kogo ty się uważasz, by mnie wypytywać?

– Odpowiedz mu – Marco naciskał, biorąc stronę przyjaciela.

– Owszem, to moja robota – odburknął Fervil.

Alec skinął głową.

– To śmieć.

Na sali podniósł się głośny szmer.

Fervil poczerwieniał na twarzy i pięścią wałnął w stół.

– Wynocha z mojego warsztatu! – huknął – Wszyscy! Mam tutaj dość kowali.

Alec nawet nie drgnął.

– A żaden z nich nie wart złamanego grosza – zauważył hardo.

Fervil groźnie postąpił do przodu. Marco stanął mu na drodze.

– Wyjdziemy – powiedział.

Alec oparł nagle czubek miecza o podłogę, uniósł stopę i jednym silnym ruchem złamał go z trzaskiem na pół.

– Czy tak się zachowuje porządny miecz? – zapytał Alec z krzywym uśmiechem.

Fervil ryknął wściekle i niczym rozjuszony byk, ruszył na Aleca, lecz gdy tylko się zbliżył, chłopak przystawił mu złamaną końcówkę ostrza do piersi. Kowal stanął jak wryty.

Widząc to, pozostali chłopcy wyciągnęli miecze i rzucili się Fervilowi na pomoc.

– Co ty wyprawiasz? – Marco zwrócił się do Aleca, zdezorientowany – Przecież wszyscy walczymy za tą samą sprawę. To szaleństwo.

– I dlatego nie mogę pozwolić, byśmy walczyli takim złodem – odparł Alec, po czym rzucił złamane ostrze na ziemię, by powoli wysunąć swój własny miecz zza pasa.

– Oto moje dzieło – powiedział dumnie – Sam je wykułem w kuźni mego ojca. Lepszej broni nigdzie nie znajdziesz.

Z tymi słowami Alec chwycił miecz na ostrze i rękojeścią podał Fervilowi.

Kowal spojrzał niepewnie, wyraźnie zaskoczony zachowaniem chłopaka. Chwycił za rękojeść, pozostawiając Aleca bezbronnym, i przez chwilę wydawało się, jakby rozważał przeszyć go na wylot jego własną bronią.

Alec jednak stał dumnie, nie lękając się.

Powoli twarz Fervila złagodniała, gdy wzrok jego spoczął na mieczu. Ważył go w rękę i unosił do światła, by wreszcie, po długim czasie, spojrzeć na Aleca z nieskrywanym podziwem.

– To naprawdę twoja robota? – zapytał z lekkim niedowierzaniem w głosie.

Alec skinął głową.

– I mogę zrobić ich wiele więcej – odpowiedział.

Zrobił krok do przodu i spojrzał na Fervil z determinacją.

– Chcę zabijać Pandezjan – kontynuował – A to tego potrzebuję prawdziwej broni.

Długa, gęsta cisza zawładnęła pomieszczeniem, aż w końcu

Fervil powoli pokręcił głową i uśmiechnął się.

Opuścił miecz i wyciągnął rękę, a Alec uścisnął ją na znak pojednania. Powoli wszyscy chłopcy opuścili broń.

– Przypuszczam – Fervil zaczął z uśmiechem – że znajdzie się tu dla ciebie miejsce.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Aidan podążał samotną leśną drogą, w najbardziej odludnym miejscu, w jakim kiedykolwiek dotąd był. Gdyby nie Leśny Pies przy jego boku, byłby zgubiony bez nadziei; ale Biały dawał mu siłę, wystarczyło tylko, by Aidan przesunął dłonią po jego krótkiej, białej sierści i od razu czuł się lepiej. Obydwaj kuleli, ranni po spotkaniu z tamtym szalonym woźnicą, każdy krok pod ciemniejącym niebem powodował dreszcz bólu. Kuśtykając krok za krokiem, Aidan przysięgał sobie, że jeśli kiedykolwiek spotka tego mężczyznę, zabije go gołymi rękami.

Biały zaskomlał cicho, więc Aidan sięgnął ku niemu i pogłaskał po łbie, pies był prawie tak wysoki jak on sam, bardziej dzika bestia niż domowy pupil. Aidan był wdzięczny nie tylko za jego towarzystwo, lecz także za to, że uratował mu życie. Sam stanął w obronie Białego, ponieważ coś w środku nie pozwoliło mu pozostawić go własnemu losowi – a w podzięce i on został przez niego ocalony. Jeśli miałby wybierać jeszcze raz, wybrałby tak samo, nawet dobrze wiedząc, że przyjdzie mu znaleźć się tu, na środku pustkowia, z głodem i śmiercią jako jedynymi widokami na przyszłość. Nadal było warto.

Biały zaskomlał znowu, Aidana także skręcało z głodu.

– Wiem, Biały – powiedział – Mi też chce się jeść.

Spoczął oczyma na ranach Białego, wciąż krwawiących lekko, i pokręcił głową, czuł się okropnie, zupełnie bezradny.

– Zrobiłbym wszystko, by ci pomóc – powiedział – Tylko nie wiem jak.

Pochylił się nad nim i pocałował go w łeb, poczuł na twarzy miękką sierść, gdy zwierzak przytulił się do niego w odpowiedzi. Było to niczym uścisk dwóch skazańców idących na śmierć. Dźwięki dzikich stworzeń podniosły się, grając osobliwą symfonię w ciemniejącym lesie. Aidan czuł, że jego nogi płoną, nie sądził, by był w stanie iść dalej. Tu chyba przyjdzie im umrzeć. Nadal byli całe dnie drogi od czegokolwiek, a wraz z zapadającą nocą robiło się niebezpiecznie. Biały, mimo swej siły, nie był w formie, by odgonić jakikolwiek atak. Aidan, pozbawiony broni i ranny, nie miał się wiele lepiej. Od długich godzin nie widzieli już żadnych wozów, podejrzewał, że nikt nie będzie przejeżdżał tędy przez całe dnie.

Pomyślał o swym ojcu, który był gdzieś tam daleko. Czuł, że zupełnie go zawiódł. Jeśli miał umrzeć, życzyłby sobie umierać u boku ojca, walcząc za jakąś wielką sprawę, lub w domu, w zaciszu Volis. Nie tutaj, samotnie, pośrodku pustkowia. Z każdym krokiem zdawał się ciągnąć swoje własne ciało ku śmierci.

Aidan zamyślił się nad swym krótkim życiem, przypominając sobie wszystkich ludzi, których dane było mu poznać i pokochać, jego ojca i braci, i – co najważniejsze – jego siostrę, Kyrę. Zamyślił się nad jej losem, był ciekaw gdzie teraz jest, czy przebyła już Escalon, czy udało jej się dotrzeć do Ur. Zastanawiał się, czy zdarzało jej się o nim myśleć, czy byłaby z

niego dumna, wiedząc jak stara się podążyć w jej ślady, że on też, na swój sposób, stara się przemierzyć Escalon, by pomóc ich ojcu i jego sprawie. Był ciekaw, czy dożyje sposobności zostania wielkim wojownikiem. Czuł ogromny smutek na myśl, że już nigdy nie zobaczy siostry.

Czuł także, że z każdym kolejnym krokiem słabnie, i że niewiele może na to poradzić, tylko poddać się ranom i wyczerpaniu. Szedł coraz wolniej i wolniej, spojrzawszy na Białego zobaczył, że on także powłóczy nogami. Wkrótce będą musieli położyć się i odpocząć choć trochę, tu przy drodze, cokolwiek by się nie działo. Przerażał go ten pomysł.

Przez chwilę zdawało mu się, że coś usłyszał. Zatrzymał się więc i wyteżył słuch. Biały zatrzymał się zaraz obok, patrząc na niego pytająco. Aidan zaczął modlić się gorączkowo. Czyżby miał już omamy?

Jednak znowu dosłyszał ten dźwięk. Tym razem był pewien, że jest prawdziwy. Skrzypienie kół. Drewna. I metalu. Słyszał jadący wóz.

Odwrócił się na pięcie, serce skoczyło mu w piersi, gdy zmrużył oczy, próbując dostrzec coś w gasnącym świetle wieczora. Lecz powoli, bez wątpliwości, coś pojawiało się w oddali. Wóz. Kilka wozów.

Serce Aidana skoczyło mu do gardła, ledwie był zdolny powstrzymać podniecenie, które wybuchło w nim, gdy usłyszał turkot, stukot końskich kopyt i zobaczył nadjeżdżającą karawanę. Jego entuzjazm osłabł, gdy zaczął zastanawiać się, czy nie będą

aby wrogo nastawieni. W końcu któż taki mógł podróżować przez taki szmat bezludnej drogi, tak daleko od ludzkich osad? On nie był w stanie walczyć, Białemu także, choć powarkiwał bez przekonania, nie zostało wiele siły. Byli zdani na łaskę nadjeżdżających, kimkolwiek by nie byli. Ta myśl napędziła mu strachu.

Rumor stał się ogłuszający, gdy wozy zbliżały się do nich, Aidan stanął śmiało pośrodku drogi, zorientowawszy się, że już się nie ukryje. Musiał zaryzykować. Wydawało mu się, że wraz z malejącą odległością, zaczyna słyszeć muzykę, co tylko pogłębiło jego ciekawość. Wozy przyspieszyły jeszcze, przez chwilę zastanawiał się, czy nie mają zamiaru go przejechać.

Wtem cała karawana zwolniła i zatrzymała się przed nim, jako że blokował im drogę. Spojrzeli na niego z wozów w opadającym wokół kurzu. Byli dużą grupą, około pięćdziesięciu osób, Aidan aż zamrugał z zaskoczenia, gdy zorientował się, że to nie żołnierze. I nie wyglądali na wrogich, co przyjął z oddechem ulgi. Zauważył, że wozy pełne były najróżniejszych ludzi, mężczyzn i kobiet w różnym wieku. Na jednym zdawali się jechać muzycy, trzymający różnorakie instrumenty; kolejny pełen był mężczyzn, którzy wyglądali na żonglerów czy komediantów, z twarzami pomalowanymi w jaskrawe kolory, noszących kolorowe trykoty i tuniki; na następnym siedzieli aktorzy, w rękach trzymali zwoje, zdawali się ćwiczyć swoje kwestie, ubrani w teatralne kostiumy; ostatni zaś pełny był kobiet – skąpo ubranych, o rysach podkreślonych ostrym makijażem.

Aidan zarumienił się i odwrócił wzrok, wiedząc, że jest za młody, by gapić się na coś takiego.

– Hej, chłopcze! – zakrzyknął jakiś głos. Należał do mężczyzny o bardzo długiej, jasnorudej brodzie sięgającej mu pasa. Wyglądał bardzo osobliwie, ale uśmiech miał przyjazny.

– Czy ta droga należy do ciebie? – zapytał żartem.

Śmiech gruchnął ze wszystkich wozów, na co Aidan znów okrył się rumieńcem.

– Kim jesteście? – spytał Aidan, zdumiony.

– Sądzę, że lepszym pytaniem jest to – odkrzyknął mężczyzna w odpowiedzi – kim ty jesteś? – wszyscy spojrzeli z przestachem na Białego, który zdecydował się zawarczyć – I co, na Boga, robisz z Leśnym Psem? Nie wiesz, że te bestie są niebezpieczne? – pytali z przestachem w głosach.

– Ten nie jest – odpowiedział Aidan – Czy wy wszyscy jesteście... artystami? – spytał, nadal ciekawy co robią na tym pustkowiu.

– To bardzo łaskawe określenie! – wykrzyknął ktoś w wozu, co przyjęto wybuchem złośliwego śmiechu.

– Jesteśmy aktorami i graczami, żonglerami i hazardzistami, muzykami i błaznami! – wykrzyknął inny z mężczyzn.

– I łgarzami, i łajdakami, i kurwami! – zakrzyknęła kobieta, po czym znów wszyscy wybuchli śmiechem.

Ktoś szarpnął struny harfy, jakby akompaniując coraz głośniejszym śmiechom, zaś Aidan zaczerwienił się po raz kolejny. Zalały go wspomnienia, pamiętał jak kiedyś spotkał

takich ludzi, gdy był młodszy i mieszkali w Andros. Pamiętał, jak oglądał artystów zjeżdżających się do stolicy, by zabawić Króla; zapamiętał ich kolorowe twarze; żonglowanie nożami; mężczyznę pożerającego futro; kobietę śpiewającą pieśni; i barda recytującego poematy z pamięci, które zdawały się ciągnąć godzinami. Pamiętał, jak dziwił się czemu ktokolwiek miałby wybrać taką drogę życia, zamiast zostać wojownikiem.

Aż zabłysły mu oczy, gdy wreszcie się zorientował.

– Andros! – wykrzyknął – Jedźcie do Andros!

Jakiś mężczyzna zeskoczył do niego z wozu. Był postawny, koło czterdziestki, z wydatnym brzuchem, potarganą, brązową brodą, rozczochranymi włosami do kompletu i ciepłym, przyjacielskim uśmiechem na twarzy. Podszedł do Aidana i ojcowskim gestem otoczył go ramieniem.

– Jesteś za młody, by pałętać się tu samemu – powiedział – Rzekłbym, że się zgubiłeś, jednak patrząc na twoje rany, i twojego pieska, zgaduję, że zaszło coś więcej. Wydaje mi się, że wpadłeś w kłopoty i tkwisz już w nich po szyję. Coś mi podpowiada – zakończył, oglądając się na Białego ostrożnie – że ma to coś wspólnego z ratowaniem tej bestii.

Aidan nie odpowiedział ani słowem, nie był pewien ile może zdradzić. Biały jednak, ku jego zaskoczeniu, podszedł do mężczyzny i polizał go po rękę.

– Zwę się Papug – dodał mężczyzna, wyciągając rękę.

Aidan odpowiedział ostrożnym spojrzeniem, nie podał mu ręki, ale kiwnął głową w powitaniu.

– Mi na imię Aidan – odrzekł.

– Możecie tu sobie zostać i zagłodzić się na śmierć – ciągnął dalej Papug – jednak to niezbyt piękne umieranie. Ja osobiście wolałbym przynajmniej podjąć, a ze świata zejść w jakiś inny sposób.

Grupa znowu gruchnęła śmiechem, Papug zaś wciąż trzymał przed sobą wyciągniętą dłoń, spoglądając na Aidana dobrotliwie, ze współczuciem.

– Wydaje mi się, że wam dwóm, tak pokiereszowanym, przyda się pomocna dłoń – dodał.

Aidan stał dumnie wyprostowany, nie chcąc okazać słabości, jak uczył go ojciec.

– Świetnie dawaliśmy sobie radę – powiedział.

Papug, a za nim reszta, skwitował to kolejnym wybuchem śmiechu.

– Pewnie, i to jak – odpowiedział.

Aidan zerknął podejrzliwie na wyciągniętą dłoń mężczyzny.

– Sam udaję się do Andros – powiedział.

Papug uśmiechnął się szeroko.

– To tak jak my – odparł – Na szczęście miasto jest na tyle duże, że pomieści nas wszystkich.

Aidan wciąż się wahał.

– Tylko wyświadczyć nam przysługę – dodał Papug – Niczego tak nam nie potrzeba, jak trochę więcej ciężaru na wozach.

– I kolejnej gęby do wykarmienia! – wykrzyknął błazen z

jednej z grupek, znów wzbudzając falę śmiechu.

Aidan spojrział na nich niepewnie, zbyt dumny by przyjąć pomoc, szukał sposobu, by wyjść z tego z twarzą.

– Cóż... – powiedział – Jeśli zrobimy wam przysługę...

I podał rękę Papugowi, który natychmiast wciągnął go na swój wóz. Był silniejszy, niż Aidan spodziewał się po nim, zważywszy że, ze sposobu w jaki się nosił, wyglądał na królewskiego błazna; jego ręka, mocna i ciepła, była dwukrotnie większa od dłoni Aidana.

Papug następnie zabrał się za Białego, podsadził go w górę, i położył delikatnie z tyłu wozu, obok Aidana. Pies zwinął się obok w słomie, z głową na jego kolanach, oczyma półprzymkniętymi z wyczerpania i bólu. Aidan czuł się podobnie.

Papug wskoczył za nimi, woźnica zaś zaciął batem i karawana ruszyła, pełna uciechy, rozbrzmiewająca muzyką. Grano radosną piosenkę, panowie i panie szarpali struny harf, grali na fletach i brzękadłach, nawet kilka osób, ku zdumieniu Aidana, zaczęło płaszać na jadących wozach.

Nigdy jeszcze nie widział tak wesołej grupy ludzi. Całe swoje życie spędził w posępnym i cichym forcie pełnym wojowników, nie był więc pewien, jak to wszystko oceniać. Jak można było być tak wesołym? Jego ojciec uczył go zawsze, że życie to poważna sprawa. Cóż więc to za błahostki?

Gdy jechali tak wyboistą drogą, Biały popiskiwał z bólu, zaś Aidan głaskał go po łbie. Papug podszedł do nich, i ku

zdziwieniu Aidana kucnął przy psie i założył kompres na jego rany, smarując je zieloną maścią. Biały powoli uspokoił się. Aidan wdzięczny był za tą pomoc.

– Kim właściwie jesteś? – spytał.

– Cóż, nazywano mnie różnie – odpowiedział Papug – Najbardziej podoba mi się „aktor”. Ale bywało też: „figlarz”, „błazen”, „komediant”... i tak dalej. Nazywaj mnie jak sobie chcesz.

– Więc żaden z ciebie wojownik – stwierdził Aidan z rozczarowaniem.

Papug aż odchylił głowę, takim śmiechem gruchnął, po jego policzkach popłynęły łzy; Aidan nie był w stanie pojąć co w tym tak śmiesznego.

– Wojownik – powtórzył Papug, kręcąc głową w zadziwieniu – Tak to jeszcze nikt na mnie nie wołał. I całe szczęście.

Aidan zmarszczył brew, nic z tego nie rozumiał.

– Ja pochodzę z rodu wojowników – powiedział dumnie, wypinając pierś, chodź siedział i wszystko go bolało – Mój ojciec jest wielkim wojownikiem.

– Cóż, bardzo ci współczuję – powiedział Papug, wciąż roześmiany.

Aidana zbiło to z tropu.

– Współczujesz? Dlaczego?

– Bo to jak wyrok – odpowiedział Papug.

– Wyrok? – powtórzył Aidan – Nie ma nic wspanialszego w życiu jak być wojownikiem. Od zawsze o tym marzyłem.

– Czyżby? – spytał Papug z rozbawieniem – Więc podwójnie ci współczuję. Ja tam sądzę, że uczty i śmiech, i spanie z pięknymi kobietami to najwspanialsze ze wszystkich rzeczy – znacznie lepsze niż paradowanie po lasach i polach w nadziei, że znajdzie się ktoś, komu można wrazić miecz w bebechy.

Aidan poczerwieniał ze złości; nigdy wcześniej nie słyszał, by ktokolwiek mówił tak o wojowaniu, naprawdę się obraził. Nigdy wcześniej nie poznał nikogo podobnego.

– Gdzie szukać honoru w takim życiu? – spytał zmieszany.

– Honor? – spytał Papug, wydając się autentycznie zaskoczonym – Tego słowa nie słyszałem już od lat – poza tym to zbyt wielkie słowo na tak małego chłopaka – westchnął – Nie wydaje mi się, by istniało coś takiego jak honor – ja ze swojej strony nigdy go nie uświadczyłem. Też kiedyś myślałem, by być honorowy – i nic mi to nie dało. Co więcej, widziałem zbyt wielu mężczyzn pełnych honoru, którzy padli ofiarą kobiet, które cześć i chwałę mają za nic – zakończył, reszta jadących na wozie uśmieła się z tego.

Aidan rozejrzał się wokół, zobaczył jak ludzie ci tańczą i śpiewają, i piją przez cały dzień, miał mieszane uczucia, by towarzyszyć im w podróży. Ci mężczyźni nie byli z tych, którzy starali się prowadzić życie wojownika, nisko cenili chwalebne życie. Wiedział, że powinien być wdzięczny za pomoc, i oczywiście był, jednak nie był pewien, co sądzić o tym towarzystwie. Na pewno nie byli ludźmi, z którymi zadawałby się jego ojciec.

– Pojadę z wami – stwierdził wreszcie Aidan – I będę wam dobrym kompanem w podróży. Jednak nie mogę myśleć o was jako towarzyszach broni.

Oczy Papuga rozwarły się szeroko w zdumieniu, zamilkł na dobrze dziesięć sekund, nie wiedząc jak odpowiedzieć.

Aż wreszcie ryknął kolejną salwą śmiechu, która trwała o wiele za długo, do której dołączyli się wszyscy wokół. Aidan nie rozumiał tego człowieka, nie sądził by kiedykolwiek miał go zrozumieć.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Duncan, z drużyną przy boku, maszerował przez stolicę, przez wielkie miasto Andros, jego krokom towarzyszył krok tysiąca wiernych mu żołnierzy, zwycięskich, pełnych triumfu, pogrążających zbroją, gdy szli tak paradą przez wyzwolone miasto. Wszędzie, gdzie się skierowali, witały ich radosne okrzyki mieszkańców, mężczyzn i kobiet, starych i młodych, ubranych bogato, na wielkomiejską modłę stolicy, wszyscy spieszyli przez brukowane ulice, by obrzucić ich kwiatami i słodyczami. Wszyscy dumnie powiewali flagami Escalonu. Duncan czuł się jak bohater, mogąc znów oglądać kolory swojej ojczyzny nad miastem, widząc tych wszystkich ludzi, jeszcze wczoraj tak udręczonych, teraz zaś tak radosnych, swobodnych. Tego widoku nigdy nie zapomni, ten widok sprawił, że wszystko to było warte swej ceny.

Nad stolicą wschodziło poranne słońce, w jego promieniach Duncan czuł się jak we śnie. Jeszcze do niedawna był pewien, że jego noga nie postanie już w tym miejscu, przynajmniej nie za życia, a na pewno nie w taki sposób. Andros, stolica. Klejnot w koronie Escalonu, w którym królowie zasiadali od tysiąca lat, teraz był pod jego kontrolą. Pandezyjskie garnizony padły. Jego ludzie kontrolowali bramy, drogi, ulice. To więcej, niż kiedykolwiek mógł sobie życzyć.

Przecież jeszcze kilka dni temu był nadal w Volis, a cały

Escalon leżał pod okutym butem Pandezji. Dziś już cały północno-zachodni Escalon był wolny, a jego stolica, jego serce i dusza, wolna była od pandezyjskich rządów. Jasne było, pomyślał Duncan, że osiągnęli to zwycięstwo wyłącznie dzięki szybkości i zaskoczeniu. Zwycięstwo wspaniałe, lecz w gruncie rzeczy przejściowe; gdy tylko wieści dotrą do Imperium Pandezji, ruszą na niego – tym razem jednak nie w sile kilku garnizonów, a całą potęgą świata. Ziemia zatrzęsie się pod tętentem bojowych słoni, niebo wypełni się strzałami, morze zaroi się statkami. Jednak to nie powód, by odwracać się od czynów sprawiedliwych, czynów godnych wojownika. Przynajmniej na razie są zwycięscy; choć przez chwilę będą wolni.

Duncan usłyszał rumor, odwrócił się by zobaczyć wspaniałą, marmurową statuę Jego Wspaniałości Ra, najwyższego władcy Pandezji, przewróconą, ściągniętą linami z postumentu przez garstkę mieszkańców. Roztrzaskała się na tysiąc odłamków, gdy uderzyła o bruk, na co ludzie krzyknęli na wivat i zaczęli tratować odłamki pod butami. Kolejni mieszkańcy rzucili się, by zerwać wielkie niebiesko-żółte sztandary Pandezji z murów, z budynków, świątynnych wież.

Duncan nie mógł nic poradzić, uśmiech sam cisnął mu się na usta, gdy zewsząd obsypywano go wivatami, gdy mógł oglądać dumę, która budzi się w tych ludziach po odzyskaniu wolności, uczucie, które sam rozumiał doskonale. Spojrzał przez ramię na Kavosa i Bramthosa, Anvina, Arthfaela i Seaviga, wraz ze

wszystkimi ich ludźmi, spostrzegł, że oni także uśmiechają się szeroko, tryumfalnie, skąpani w chwale dnia, który wryje się już na stałe w karty historii. Pamięć o tym zdarzeniu będą już nosić w sobie po kres swoich żywotów.

Maszerowali razem przez stolicę, przechodząc przez dziedzińce i place, skręcając w ulice, które Duncan pamiętał doskonale z wielu lat, które tu spędził. Pokonali kolejny zakręt, po czym oczom jego ukazał się królewski pałac w Andros, ze złotą kopułą lśniąca w promieniach słońca, o wielkich, okrągło sklepionych wrotach, równie imponujących jak dawniej, o lśniącej fasadzie z białego marmuru, tak jak ją zapamiętał, rzeźbionej prastarymi cytatami Escalońskich filozofów. To jeden z niewielu budynków, których Pandezja nie tknęła, Duncan zaś poczuł się dumny, mogąc go teraz oglądać.

Poczuł jednak także ciężar w sercu; wiedział, że w środku czeka na niego szlachta i politycy, obecna rada Escalonu, ludzie polityki, knowań, ludzie, których nie rozumiał. Nie byli żołnierzami, dowódcami, mierzyli swą wartość w pieniądzu, we władzy i wpływach, które odziedziczyli po przodkach. Ludzie, którzy nie zasłużyli na władzę, którą posiadali, chociaż nadal trzymali Escalon w stalowym uścisku.

Co najgorsze, był pewien, że pomiędzy nimi będzie również Tarnis.

Duncan spał mięśnie i wziął głęboki oddech, po czym skierował się w górę setki marmurowych schodów, ze swymi ludźmi u boku, ku wrotom otwieranym przed nim właśnie przez

Gwardię Królewską. Jeszcze raz odetchnął głęboko. Wiedział, że powinien smakować zwycięstwo, ale był też świadom, że wchodzi w gniazdo żmij, w miejsce, w którym honor ustępuje kompromisom i zdradzie. O wiele bardziej wolałby walczyć z całą Pandezją niż spędzić choć chwilę spotykając się z tymi ludźmi, ludźmi niestałych kompromisów, ludźmi, którzy nie mieli żadnych zasad, którzy tak zamotani byli w kłamstwa, że często nie rozumieli nawet siebie samych.

Strażnicy Gwardii Królewskiej, ubrani w jasnoczerwone zbroje, których Duncan nie widział już od lat, ze szpiczastymi hełmami i paradnymi halabardami, otworzyli szeroko wrota, po czym spojrzeli z powrotem na Duncana z szacunkiem. Ci tutaj byli prawdziwymi wojownikami. Gwardia była pradawną formacją, poświęconą wyłącznie służbie królowi Escalonu. Byli jedyną formacją wojskową, która tu pozostała, gotowi wykonać każdy królewski rozkaz, pozostałość minionej świetności miasta. Duncan wspomniał przysięgę złożoną Kavosowi, wystarczyło, że pomyślał o wstąpieniu na tron, a już czuł ciężką gulę w brzuchu. To ostatnia rzecz, której mógłby dla siebie chcieć.

Poprowadził swych ludzi przez wrota, w głąb okrytych wciąż korytarzy pałacu królewskiego, wpatrując się, jak za każdym razem, z zapartym tchem w wysoko sklepienie sufitów pokryte płaskorzeźbami insygniów escalońskich klanów, w podłogi wyłożone białym i niebieskim marmurem, w których wyrzyty był symbol ogromnego smoka z lwem w paszczy. Wystarczyło znów to zobaczyć, by wrócić do wspomnień. Nieważne ile razy

tu wchodził, to miejsce sprawiało, że czuł się zupełnie nieistotny.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.